

**LUCY GORDON**

**W CIENIU ZŁOTEJ GÓRY**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Angie, taksówka czeka! - zawołała zdesperowana Heather po raz kolejny.

- Jestem gotowa! - odkrzyknęła Angie nie całkiem zgodnie z prawdą. Musiała jeszcze przyczernić rzęsy i delikatnie podkreślić wargi. Nigdy nie wyszłaby z domu, nie mając pewności, że wygląda idealnie. Nawet jeśli czas naglił tak jak teraz.

Taksówka od dziesięciu minut stała w ulewnym deszczu przed domem, w którym mieszkały obie dziewczyny. Kierowca już dawno zniósł ostatnią walizkę i tylko Heather została przed drzwiami, wołając niecierpliwie w głąb domu:

- Angie! Taksówka!

- Wiem, wiem! - krzyknęła Angie.

- Wołam cię od godziny, a ty nic!

- Idę, idę... - mruknęła Angie pod nosem. Czy wszystko zabrałam? No cóż, i tak już za późno. Jeszcze chwila, a ona mnie zamorduje.

- Powiedz taksówkarzowi, żeby zajął się bagażami! - krzyknęła głośno do Heather.

- Już dawno są w bagażniku! - W głosie przyjaciółki słychać było desperację. - Angie, jadę na Sycylię, żeby wyjść za mąż i, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zdążyć na własne wesele!

- Przecież to dopiero za tydzień, prawda? - Angie właśnie pojawiła się na schodach.

- Tak, ale to wcale nie znaczy, że możemy się teraz spóźnić na samolot.

Dzień był wprost idealny, żeby opuścić Londyn - lało jak z cebra. Dziewczyny rzuciły się pędem w stronę taksówki. Dopadły samochodu, ledwo powstrzymując wybuch radości - uciekały stąd, jechały ku słońcu, były młode i szczęśliwe, a jedna z nich wychodziła za mąż. Życie było piękne, mimo że padał deszcz.

- Popatrz tylko, widziałas kiedyś taką ulewę? - Angie zatrasnęła drzwi taksówki. - Jak to dobrze, że już jedziemy! - Spostrzegłszy jednak wymowne spojrzenie Heather, dodała pośpiesznie: - Bardzo cię przepraszam, że musiałaś na mnie tak długo czekać.

- Jak to się stało, że zostałam lekarzem? Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Jesteś najbardziej niezorganizowaną osobą, jaką znam.

- Ale nie jestem niezorganizowanym lekarzem - odparła Angie, zresztą zgodnie z prawdą. - Tylko w życiu prywatnym przejawiam skłonności do... no sama wiesz.

- No właśnie, do lekkomyślności.

Angie przeciągnęła się z błogim uśmiechem.

- Oj, naprawdę potrzebuję wakacji. Jestem wykończona. Mieszkały razem od sześciu

lat. Heather była z natury skromna, spokojna i cicha. Zgodnie z zasadą przyciągania się przeciwieństw, jej najlepszą przyjaciółką została właśnie Angie, dusza towarzystwa, dla której świat mężczyzn istniał tylko po to, by dostarczać jej rozrywki. Teraz także już sobie wyobrażała wszystkie przyjemności, jakie ją czekają na Sycylii.

- Słońce, lazur morza, kilometry piaszczystych, złotych plaż, no i ci fantastyczni, młodzi Sycylijczycy. A każdy z nich wygląda jak D.S. albo co najmniej jak S.K.

Angie dzieliła mężczyzn na dwie kategorie: D.S., co oznaczało „demona seksu”, oraz S.K., czyli „smaczny kasek”. Na ile Heather rozeznawała się w tej klasyfikacji, do kategorii D.S. należeli ci, którzy robili wrażenie od pierwszego spojrzenia, podczas gdy egzemplarze S.K. charakteryzowały się większą subtelnością i były bardziej intrygujące. Sama Angie doskonale łączyła w sobie cechy obu kategorii, dlatego też czuła się uprawniona do wydawania takich sądów.

- To twoje S.K. zabrzmiało niemal jak „ubogi krewny” - zaproponowała Heather.

- Wcale nie, tylko praca nad takim egzemplarzem wymaga czasu. A ja go nie mam. D.S. jest lepszy na krótki flirt.

- Pamiętaj, tym razem bądź grzeczna!

- Nie ma mowy - odparła Angie. - Nie po to jadę na wakacje, żeby być grzeczną, tylko po to, żeby się opalić, zakochać i zasmakować miejscowych atrakcji. I zachowywać się skandalicznie. Inaczej podróż nie miałaby sensu!

Patrząc na Angie, łatwo można było dać wiarę jej słowom. Była filigranową blondynką o błękitnych oczach - miała zaledwie sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Z natury romantyczna i impulsywna, niezwykle łatwo się zadurzała. A ponieważ wyglądała jak rusałka na leśnej polanie - jak ją określił jeden z zakochanych po uszy adoratorów - często wzbudzała namiętność u mężczyzn. W rezultacie, po serii gwałtownych, choć równie przelotnych związków, Heather nazwała przyjaciółkę „flirciarą”.

To wszystko były jednak pozory. Romanse doktor Angeli Wendham miały krótkotrwały charakter tylko dlatego, że jej jedyną miłością była praca. W tej płóchej osobce krył się prawdziwy mózgowiec, który z wyróżnieniem ukończył akademię medyczną. Po studiach Angie odbyła czteroletnie praktyki medyczne, między innymi w pogotowiu, gdzie miała do czynienia nie tylko z ofiarami wypadków, ale też z pijaczkami i różnymi rzezimieszkami. Dzięki tym doświadczeniom potrafiła poradzić sobie niemal w każdej trudnej sytuacji.

Teraz jednak myślała wyłącznie o zabawie. Heather jechała, by wyjść za mąż za Lorenza Martelli, Sycylijczyka, Angie zaś miała być jej druhną. A ponieważ były to jej

pierwsze wakacje od bardzo, bardzo dawna, postanowiła bawić się do upadłego.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed lotniskiem, deszcz ciągle padał. Dziewczęta ruszyły pośpiesznie do sali odlotów, pchając przed sobą wózek obładowany głównie bagażami Angie. Dziewczyna była świadoma swojej urody i zgrabnej figury, którą potrafiła w dodatku umiejętnie podkreślić ubiorem, więc nie żałowała pieniędzy na stroje.

Deszcz przybrał jeszcze na sile, gdy samolot wznosił się ku niebu. Po chwili jednak przebili się przez warstwę chmur i wszystko wokół zalało słońce. Dziewczęta przyłgnęły do okna.

- Zakochałaś się po uszy, gdy tylko spuściłam cię z oka - odezwała się Angie. - To o wiele bardziej pasowałoby do mnie.

- Rzeczywiście. Nie było to w stylu odpowiedzialnej realistki, za którą zawsze się uważałam - zadumała się Heather. - Nagle pakuję manatki i przeprowadzam się do innego kraju, praktycznie do innego świata.

Angie dyplomatycznie zachowała milczenie. Wciąż niepokoiła ją myśl o poprzednim związku Heather, który zakończył się tak pechowo. Peter zerwał z nią tydzień przed ślubem, po roku narzeczeństwa.

- To żaden odwet - powiedziała Heather, jakby czytając w jej myślach. - Kocham Lorenza i zamierzam być z nim bardzo szczęśliwa na Sycylii.

- Masz rację. Nowe, cudowne życie. - Na twarzy Angie igrał na poły filuterny, a na poły niewinny uśmiech. - Mówiłaś, że Lorenzo ma dwóch braci, prawda?

- Poznałam tylko jednego z nich, Renata.

- Tak, pamiętam. Niewiarygodne, że w ogóle jakiś mężczyzna mógł tak się zachować. Przyjść do Gossways, udając zwykłego klienta po to, by obejrzeć cię dokładnie od stóp do głów!

Gossways, to najbardziej luksusowy dom towarowy w Londynie, gdzie Heather sprzedawała perfumy.

- Nie mam do niego żalu o to, że chciał poznać narzeczoną własnego brata - powiedziała - ale sposób, w jaki to zrobił! Najpierw nie pisnął ani słówka, kim jest, a później, tego samego dnia, kiedy Lorenzo miał nas sobie przedstawić w „Ritzu”, po prostu siedział i gapił się na mnie.

Spotkanie miało dramatyczny przebieg. Renato Martelli wprawdzie zaaprobował Heather, ale zrobił to w tak wyniosły sposób, że dziewczyna wybiegła z hotelu, co omal nie skończyło się tragicznie pod kołami nadjeżdżającej taksówki. Jeszcze tego samego wieczoru Lorenzo błagał ją na kolanach, by wyszła za niego za męż... i ona uległa. Teraz, w niecały

miesiąc później, leciała na Sycylię na swój ślub. Dokładnie tak, jak mówiła Angie, Heather zakochała się po uszy.

- Opowiedz mi o drugim bracie - poprosiła Angie.

- Ma na imię Bernardo i jest przyrodnim bratem. Martelli miał romans z niejaką Martą Tornese, a Bernardo jest dzieckiem z tego związku. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Pani Martelli przygarnęła chłopca i wychowała razem ze swoimi synami.

- To jakaś niezwykła kobieta - stwierdziła Angie. Samolot przechylił się na jedno skrzydło, ukazując oczom przyjaciółek trójkątną wyspę, lśniąca złotem na tle błękitu morza. W chwilę później lądowali już w Palermo.

Gdy przeszły przez odprawę celną, Heather rozpromieniła się, ujrzawszy dwóch mężczyzn. Angie wiedziała z opowiadań Heather, że ten wysoki, młody człowiek o kręconych jasnych włosach to Lorenzo. Zerknęła na jego towarzysza i poczuła miłe ukłucie w sercu.

Miał niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, co w oczach filigranowej Angie stanowiło raczej zaletę. Nie znosiła bólu szyi od ciągłego zadzierania głowy. W skali do dziesięciu dałaby mu dziesiątkę za smukłość, sprężystość, wąskie biodra i to coś, co każda znająca się na rzeczy kobieta od razu potrafi odkryć.

Jak na początek całkiem nieźle, pomyślała. Dopiero kiedy podeszła bliżej i poczuła na sobie poważne spojrzenie jego ciemnych oczu, zawahała się. Coś w tym mężczyźnie krępowало ją, sprawiając jednocześnie, że odczuwała przyjemny dreszczyk podniecenia.

Kiedy Lorenzo i Heather rzucili się sobie w ramiona, młody człowiek podszedł do niej z ledwie widocznym uśmiechem na twarzy.

- Bernardo Tornese - powiedział głębokim głosem. Tornese, zauważyła, nie Martelli. Ujęła wyciągniętą dłoń.

Nawet w lekkim uścisku poczuła jego siłę.

- Angela Wendham - przedstawiła się.

- Bardzo mi miło panią poznać, signorina Wendham. Jego głos był tak głęboki i dźwięczny, że mogłaby go słuchać w nieskończoność.

- Po prostu Angie - dodała z uśmiechem.

- Bardzo mi miło, Angie. Miała wrażenie, że Bernardo przygląda się jej taksująco, zresztą tak jak ona jemu. Nie miała nic przeciwko temu. Wiedziała, że nie musi obawiać się niczyich spojrzeń - wyglądała idealnie, nawet po męczącej podróży samolotem.

Narzeczeni zakończyli powitalny uścisk i nieco zakłopotani rozejrzeli się wokoło. Heather przedstawiła Angie swojemu przyszłemu mężowi.

- To mój brat Bernardo - powiedział Lorenzo.

- Przyrodni brat - sprostował natychmiast Bernardo.

Posiadłość Martellich znajdowała się jakieś pół godziny jazdy od Palermo. Tyle było piękna wokół, że Angie poczuła zawrót głowy. Wkrótce pozostawili za sobą skwarne ulice miasta. Ich miejsce zajął wiejski krajobraz. Wokół rozciągały się kipiące od kwiecica ogrody, a lśniący lazur morza - w miarę jak samochód wspinał się w górę - zalewał coraz większą część widnokregu. W końcu ujrzeli trzypiętrowy budynek, a Lorenzo z tylnego siedzenia zawołał:

- Jesteśmy na miejscu! Residenza, jak nazywała się posiadłość, stała na zboczu wzgórza, z którego rozciągał się widok na morze. Dom, zbudowany z piaskowca, wyglądał jak średniowieczne zamczysko. Martelli należeli do arystokracji i żyli zgodnie ze statusem.

- To jest wasz dom? - zduszonym głosem spytała Angie.

- To Residenza Martellich - odparł Bernardo. Był skoncentrowany na prowadzeniu i wydawało się, że nie zauważa pytającego spojrzenia Angie.

Po chwili wjechali na dziedziniec, gdzie na kamiennych stopniach domostwa czekała już Baptista Martelli. Była to drobna kobieta po sześćdziesiątce. Miała białe jak śnieg włosy i szlachetną twarz. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie, jakby czas obszedł się z nią zbyt surowo. Angie przypatrywała się jej z zainteresowaniem jako przyszłej teściowej swojej przyjaciółki, ale również jako kobiecie, która wychowała nieślubne dziecko męża razem z własnymi synami. Baptista powitała ją z serdecznością, pod którą Angie wyczuła jednak coś więcej.

Nieugięta wola, której nie da się ukryć, mimo całego uroku osobistego, pomyślała Angie. W tym momencie Baptista uśmiechnęła się do niej i ostre spojrzenie złagodniało.

Niebezpieczny wróg, ale jakże wspaniałym przyjacielem, przyszło Angie do głowy. Zwróciła uwagę, że Lorenzo powitał matkę czułym uściskiem, podczas gdy Bernardo zadowolony się oficjalnym cmoknięciem w policzek. Jednak jego manierom nie można było nic zarzucić, chociaż wyczuwało się w nich raczej kurtuazję niż serdeczność.

Pokojówka zaprowadziła dziewczyny do ich sypialni. Za chwilę miały zejść na taras, gdzie czekała na nie Baptista.

W sypialni stały dwa łóża z baldachimem, a przysłonięte ażurowymi firankami okna wychodziły na obszerny taras ze wspaniałym widokiem na ogród, za którym rozciągał się przepiękny krajobraz, aż po majaczące na horyzoncie ciemne sylwetki gór.

Pokojówka już rozpakowywała bagaże. Angie zrzuciła założone na podróż dzinsy i przebrała się w zwiewną, błękitną sukienkę, przy której jej oczy nabierały fiołkowej barwy. Gdy obie dziewczyny były gotowe, pokojówka pokazała im drogę na taras, gdzie Baptista

siedziała przy małym ogrodowym stole zastawionym smakołykami. Bernardo i Lorenzo też już tam byli. Szarmancko przysunęli dziewczętom krzesła i napełnili ich szklanki marsalą.

- Macie na coś ochotę? - Bernardo wskazał na kandyzowane owoce, sycylijski sernik i mrożoną kawę z bitą śmietaną.

- O nieba - jęknęła cicho Angie.

- Baptista jest najwspanialszą gospodynią pod słońcem - powiedział Bernardo. - Jeśli nie zna upodobań swoich gości, każe, na wszelki wypadek, podać wszystko.

„Baptista” - nie - „mama”, zauważyła Angie. Przypomniała sobie, jak jeszcze na lotnisku Bernardo prędko sprostował, że jest przyrodnim bratem Lorenza. Coś tu musiało być nie tak. Intuicja mówiła jej, że Bernardo jest skomplikowanym mężczyzną, dźwigającym bagaż przeszłości. To było coraz bardziej intrygujące!

Bernardo poczęstował ją sycylijskimi specjałami i winem i upewnił się, że Angie ma wszystko, czego potrzebuje. Nie brał jednak udziału w rozmowie. Dziewczyna nigdy nie zgadłaby, że jest on bratem Lorenza. W tamtym wszystkim było beztroskie, począwszy od kręconych, jasnych włosów, a na uśmiechu skończywszy; w Bernardzie zaś wyczuwało się jakiś mrok. Jego skóra, ogorzała od wiatru i słońca, świadczyła o tym, że był człowiekiem żyjącym wśród żywiołów. Ciemne oczy świeciły jak węgle pod burzą czarnych włosów.

Jego twarz przykuwała uwagę. Gdy nic nie mówił, stawała się nieruchoma jak skała. Głęboko osadzone oczy skrywały tajemnice. Dopiero kiedy zaczynał mówić, kamienne rysy ożywały i nabierały wyrazu.

Baptista dała znać, że pragnie pozostać sam na sam z Heather. Kiedy Lorenzo odszedł, Bernardo zwrócił się do Angie:

- Może chciałabyś zobaczyć ogród?

- Z przyjemnością - odparła Angie. Ogromny ogród był chlubą Residenzy. Pielęgnował go cały zastęp ogrodników. Bernardo wymieniał skrupulatnie nazwy poszczególnych gatunków roślin. Angie miała jednak wrażenie, że robi to z poczucia obowiązku. Jakby wspaniałość tego miejsca w jakiś sposób przytłaczała go, jakby tutaj nie mógł być sobą. Jej ciekawość rosła.

- Od dawna znacie się z Heather? - zapytał.

- Od około sześciu lat. Pracowałam w sklepie niedaleko kliniki, w której odbywałam praktykę.

- Jesteś pielęgniarzką?

- Jestem lekarką - ucięła krótko, nie wiadomo dlaczego dotknięta jego słowami.

- Wybacz. Sycylia pod wieloma względami jest bardzo staromodna - wyjaśnił

pośpiesznie.

- Najwyraźniej.

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

- Jesteś na mnie zła? - zapytał w końcu.

- Skądże znowu. - Jej odpowiedź była jednak zbyt szybka.

- Wydaje mi się, że jesteś. Zrozum, spędziłem szmat czasu w górach, wśród ludzi, którzy żyją tak samo jak przed wiekami. Tobie moglibyśmy wydać się nieokrzesani. - Nie uśmiechał się, ale jego głos brzmiał łagodnie.

- Nie jestem zła. To ja czepiam się drobiazgów. - Uśmiechnęła się pojednawczo. - Ale, ale, opowiadałam ci o Heather. Poznałyśmy się, polubiłyśmy i w końcu zamieszkałyśmy razem.

- Opowiedz mi o niej. Jest tak inna niż... no wiesz, zupełnie inna niż Lorenzo - skończył z pewnym zażenowaniem.

Angie wydało się dziwne, że mężczyzna z tak bogatego rodu jest nieśmiały i w rozmowie nie czuje się zbyt pewnie. Jednego nie robił - nie używał gładkich słówek. Ale Angie uznała to za zaletę.

- Zastanawiasz się pewnie, czy to dobrze świadczy o Heather, że uległa takiemu uwodzicielowi jak Lorenzo? - podpowiedziała ze śmiechem.

Bernardo lekko się zmieszał, jednak po chwili opanował się.

- Heather na pewno nie jest kokietką, skoro Renato ją zaaprobował. Wyrażał się o niej w samych superlatywach.

- Za to ona o nim nie. Ponoć zachował się wobec niej skandalicznie - rzuciła Angie.

- Tak, wiem, co zaszło tamtego wieczoru. Tych dwoje pewnie już nigdy się nie pogodzi, a Lorenzo znajdzie się między młotem a kowadłem.

- Chciałabym poznać Renata. Jaki on jest?

- Jest głową rodziny. - W głosie Bernarda zadźwięczała poważna nuta.

- Domyślam się, że tutaj to się liczy?

- A u was nie?

- Raczej nie. - Angie zastanowiła się. - Oczywiście, wszyscy szanujemy tatę, ale to dlatego, że pracując przez kilkadziesiąt lat jako lekarz, pomógł tysiącom ludzi.

- Czy dlatego zostałam lekarką?

- Wszyscy jesteśmy lekarzami. Moi dwaj bracia, ja. Moja mama też była lekarką. Zmarła, kiedy odbywałam praktyki.

- Twoi rodzice założyli prawdziwą dynastię lekarską.



- Chciałabym, żeby cię słyszał mój ojciec. - Angie parsknęła śmiechem. - Nigdy nas nie zachęcał, byśmy szli w jego ślady. Pamiętam, jak nam powtarzał: „Możecie robić cokolwiek, tylko nie idźcie na medycynę. To koniec życia prywatnego i całe lata bezsenności”. No i przekonaliśmy się, że miał rację. Ale musisz wiedzieć, że w Anglii mężczyzna nie może liczyć na szacunek tylko dlatego, że jest mężczyzną. Prawdę mówiąc...

- urwała.

- Nie przerywaj, mów. - W oczach Bernarda igrały wesołe iskierki. - Widzę, że musisz odplacić mi pięknym za nadobne.

- Kiedy zdawałam ostatni egzamin, za punkt honoru postawiłam sobie, że dostanę lepszą ocenę niż moi bracia. I udało się!

- Angie miała minę rozradowanego dziecka. - Mówię ci, byli wściekli!

Bernardo przyglądał się jej z wyraźną przyjemnością, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- A twój tato?

- Przed egzaminami powiedział: „Trzymaj się!”, a potem: „Dzielna mała!”.

- No, a co na to twoi bracia?

- Kiedy? Przed czy po przełknięciu tej gorzkiej pigułki? Chichotali na myśl o tym, co mnie czeka.

- A co cię czekało?

- Cztery lata praktyk podyplomowych. Interna, chirurgia, pogotowie, położnictwo, ginekologia, pediatria, psychiatria...

- Musiało być strasznie - wtrącił Bernardo pół żartem, pół serio.

- O tak! Pewnie dlatego jest tak koszmarnie, żeby wyeliminować słabeuszy. Ale ja do nich nie należę. Popatrz tylko! - Zacisnęła pięść i z udaną dumą napięła biceps.

Bernardo z pewnym zakłopotaniem dotknął ledwie widocznej wypukłości.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział z uśmiechem. - Tyle dokonań, a przecież jesteś jeszcze... - Chciał powiedzieć „małą dziewczynką”, ale coś kazało mu zamilknąć.

- Mam dwadzieścia osiem lat. I jestem dużo silniejsza, niż ci się wydaje.

- Trudno się domyślić - wyraził wątpliwość, obrzucając wymownym spojrzeniem jej wiotką postać.

Trzymając się pod rękę, spacerowali pod drzewami, a w Angie kielkowało poczucie bliskości do tego mężczyzny. Właściwie nic takiego nie zrobił ani nie powiedział. Nie był też wcale najprzystojniejszym mężczyzną pod słońcem. Prawdę mówiąc, wypadł źle w porównaniu z niektórymi jej adoratorami. A jednak jego widok sprawiał jej przyjemność.

Pierwsze wrażenia ze spotkania na lotnisku nie myliły jej.

- Ten ogród jest cudowny - westchnęła, rozglądając się wokół.

- Tak, jest doskonały - zgodził się z nią. Nuta rezerwy w jego głosie sprawiła, że Angie spojrzała na niego pytająco:

- Nie podoba ci się? Zastanowił się.

- Nie lubię rzeczy doskonałych. Dla mnie jest zbyt wypieszczony. Człowiek nie czuje się w nim swobodnie. - Zamilkł nagle i uśmiechnął się przepraszająco.

- A gdzie czułbyś się swobodnie? - zapytała zafrapowana. . - Wysoko w górze, gdzie szybują złote orły.

- Złote orły? - powtórzyła z zapalem. - Gdzie?

- W moim domu w górach. Tutaj, bywam bardzo rzadko. Mój prawdziwy dom to Montedoro.

- Poczekaj - „monte” to znaczy góra, a „oro” złoto, mam rację?

- Znasz włoski?

- Siostra mojej matki wyszła za Włocha. Kiedy byłam dzieckiem, jeździliśmy do nich każdego lata.

- Masz rację. Montedoro to Złota Góra.

- Od złotych orłów?

- Częściowo. Również dlatego, że oświetlają ją pierwsze promienie wschodzącego słońca, a światło zachodu gaśnie tam najpóźniej. To najpiękniejsze miejsce na ziemi.

- Chyba ci wierzę - powiedziała Angie w zadumie. Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Czy ty...? - zaśmiał się zmieszany. - To znaczy... zastanawiam się, czy...

- Tak? - zachęciła go. Westchnął. Angie nie mogła się doczekać, aż w końcu powie to, co chciała usłyszeć.

- Hej, Bernardo! - dobiegło ich nagle wołanie. Bernardo wzdrygnął się, a Angie miała dziwne wrażenie, jakby została obudzona ze snu. Na ścieżce ujrzeni Lorenza.

- Czas przygotować się do kolacji! - zawołał, machając ręką. Angie wracała do domu w towarzystwie dwóch mężczyzn rozczarowana nieco, ale nie zniechęcona. Bernardo chciał jej pokazać swój dom, tego była pewna. Z każdą chwilą pragnęła wiedzieć więcej o tym mężczyźnie. Przed nią jeszcze cały wieczór i niech się nie nazywa Angela Wendham, jeśli nie uda jej się wymóc na nim tego zaproszenia!

W pokoju rzuciła się na łóżko i westchnęła błogo, podkładając ręce pod głowę.

- D.S czy S.K.? - zainteresowała się Heather.

- D.S.! Z całą pewnością D.S. - odparła radośnie.

- Oj, niebezpiecznie. - Heather była wyraźnie zaniepokojona.

- Doprawdy nie wiem, o czym mówisz - powiedziała Angie niewinnie.

- O, wiesz dobrze. Zawsze poznam, kiedy zagniesz parol na mężczyznę. Ukrywasz w zanadrzu cały arsenał niezawodnych i sprawdzonych sztuczek. Ale Bernardo nie wygląda na faceta, którego można okręcić sobie wokół palca.

- Masz rację. Jest niesamowicie poważny. - Angie zaśmiała się. - Ale to czyni z niego tym cenniejszą zdobycz.

- Poddaję się.

- Całkiem słusznie, kochana. Jestem stracona!

Do kolacji Angie włożyła suknię mieniącą się zielenią i błękitem, w odcieniach, których nie powstydzilby się paw. Taka kreacja nie każdej blondynce wyszłaby na dobre, ale Angie wiedziała, że wygląda jak gwiazda. Zastanawiała się, czy Bernardo tak właśnie pomyśli.

Na odpowiedź nie musiała czekać zbyt długo. Gdy schodziły ze schodów, Angie, idąca kilka stopni za Heather, od razu spostrzegła, że Bernardo zupełnie nie zwraca uwagi na najważniejszą osobę - narzeczoną brata - a patrzy wprost na nią. Jeszcze większą satysfakcję sprawiło jej, gdy zauważyła subtelną przemianę, jaka w nim zaszła na jej widok. Wyraźnie ożywił się. Podobnie działo się z samą Angie. Radosne oczekiwanie rosło w niej, gdy podał jej ramię i poprowadził w stronę swych przyjaciół i rodziny, aby ją przedstawić.

Miała teraz okazję przyjrzeć się z bliska Lorenzowi i przekonać się, jaki jest fantastyczny. Już nie dziwiła się swojej rozsądnej przyjaciółce, że zakochała się w nim bez pamięci. Być może miał w sobie coś chłopięcego, ale wyglądał i zachowywał się tak czarująco. A poza tym bez wątpienia niedługo dorośnie...

Nie mogła natomiast przekonać się do Renata, który wydał jej się szorstkim i aroganckim cynikiem. Był wysoki i wspaniale zbudowany, ale chociaż jego walory fizyczne nie pozostawiały nic do życzenia i choć przywitał się z nią uprzejmie, nie polubiła go. Przeczuwała, że przyjaciółka już niedługo będzie musiała stawić mu czoło.

Dwa duże stoły zastawiono na sześćdziesiąt osób. Martelli byli liczącą się rodziną, a ślub jednego z nich miał rangę wydarzenia roku. Na honorowym miejscu przy pierwszym stole królowała Baptista z parą narzeczonych u boku, przy drugim, w centrum, siedzieli Renato i Bernardo. Renato wspaniale wywiązywał się z obowiązków gospodarza, Bernardo natomiast całą uwagę poświęcał damie siedzącej obok niego. Być może tego właśnie wymagał savoir - vivre. Należało jej - Angielce - objaśnić sycylijskie menu.

- Fasolowe placuszki? - zaproponował. - A może wolałybyś faszerowane kulki ryżowe

lub sałatkę owocową?

- I to wszystko to dopiero pierwsze danie? - Angie nie kryła zdumienia.

- Oczywiście. Potem podadzą potrawy z ryżu, makaron z kalafiolem, sardynki...

- Mniam, mniam. Brzmi wspaniale. Jak to często bywa w przypadku filigranowych kobiet, Angie mogła objadać się niczym wygłodzony lew i nigdy nie przybywało jej ni grama. Bernardo patrzył z podziwem, jak pochłaniała potrawkę z królika w sosie słodko - kwaśnym. Podał jej pasztet udekorowany serem *ricotta*, który Angie przyjęła bez wahania.

- Pierwszy raz widzę, żeby kobieta tak jadła - powiedział i natychmiast przeraził się, zdając sobie sprawę, jak niezręcznie musiało to zabrzmieć. - Nie to miałem na myśli! Chciałem powiedzieć, że...

Przerwał mu śmiech Angie, tak dźwięczny i szczery, że Bernardo też się uśmiechnął i jego zakłopotanie znikło. Zrozumiała go i wszystko było w porządku.

- Straszny gbur ze mnie, nieprawdaż? Zawsze powiem coś niewłaściwego.

- A kto chciałby ciągle słuchać właściwych rzeczy? - Angie skrzywiła się lekko. - Ciekawiej jest dowiedzieć się, co ludzie naprawdę myślą.

- Często to, co mówię albo myślę, denerwuje ludzi - stwierdził ponuro.

- Wyobrażam sobie. Posiłek dobiegł końca. Goście wstali od stołu i rozchodzili się, dzieląc się na grupki. Bernardo przywołał kelnera. Wziął z tacy dwie szklaneczki. Jedną podał Angie i poprowadził dziewczynę w stronę bocznych drzwi. Nie zapytał jej, czy ma ochotę na jego towarzystwo, ale nie musiał. Angie chętnie podażyła za nim.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Donikąd. - Wyglądał na zaskoczonego jej pytaniem. - Po prostu chciałem trochę pobyć z tobą sam na sam. Masz coś przeciwko temu?

- Nic podobnego. - Angie uśmiechnęła się. Woląла jego otwartość i pewien brak oglądy od śliskiego czaru mężczyzn, których znała. - Wszystko gra.

Prowadził ją przez okazałe wnętrza domu - przepyszny wystrój, ciężkie gobeliny na ścianach. Ze wszystkich okien rozciągały się przepiękne widoki.

- Galeria przodków - powiedział, gdy weszli do sali zawieszanej portretami. - To Vincente. Mój ojciec. - Wskazał na pierwszy portret. - Dalej dziadek, pradiadek...

Zbyt wiele było twarzy, by przyjrzeć się wszystkim, ale uwagę Angie zwrócił zagubiony wśród innych niewielki portret.

Ukazywał mężczyznę w osiemnastowiecznym stroju, o twarzy ostrej, choć zmęczonej, i nieco podejrzliwym spojrzeniu.

- To Lodovico Martelli. Jakies dziesięć pokoleń wstecz - wyjaśnił Bernardo.

- Ale to przecież ty! - Angie patrzyła zdumiona.
- Jest pewne podobieństwo - przyznał.
- Pewne? Skądże. To przecież kropka w kropkę ty. Jesteś prawdziwym Martelli.
- W pewnym sensie.

Nie drążyła tematu. W samą porę przypomniała sobie o pochodzeniu Bernarda. Wyszli na taras. Zapadł już zmrok i jedynie światła domu rozjaśniały aksamitną ciemność. Angie drżała. Pragnęła, by Bernardo ją pocałował. Ale on zrobił coś, co zupełnie ją zaskoczyło. Ujął jej dłoń i delikatnie dotknął nią swojego policzka.

- Chyba... - zaczął i wydawało się, że nie może dokończyć zdania.
- Tak?

- Chyba powinniśmy wracać. Okropny ze mnie gospodarz. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, Angie potrafiłaby użyć swego uroku, by po swojej myśli pokierować wydarzeniami. Ale nie z Bernardem.

- Chyba masz rację - powiedziała. - Powinniśmy wracać.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Bernardo ciągle śnił ten sam koszmar. Mały chłopiec czeka nocą na powrót matki. Bernardo patrzy na niego jakby z boku, ale wie, że ten chłopiec to on sam. Zna wszystkie myśli i uczucia targające malcem, w chwili gdy głośnie stukanie do drzwi uzmysławia mu, że jego świat się zawalił. Matka już nigdy nie wróci. Leży martwa u stóp gór, uwięziona wraz z ojcem we wraku rozbitego samochodu. Sceny zmieniają się jak w kalejdoskopie. Ten sam chłopiec pochyla się nad ciałem matki i walcząc ze łzami, szepcze pełne rozpaczyny przyrzeczenie, że zawsze będzie czcił jej pamięć. Dla sąsiadów jego matka była *prostituta*. Fakt, że jej kochankiem był wielki człowiek, nie miał dla nich znaczenia. Okazywali jej szacunek tylko ze strachu przed gniewem Vincente Martellego.

Wiedział o tym i przysiągł sobie, że zmyje tę hańbę. Będzie silny jak ojciec i zmusi ludzi, by szanowali imię matki. Inna scena. Znowu on, kryjący się w ciemnościach domu, w którym toczy się kłótnia o jego przyszłość. Dwunastolatek nie może przecież mieszkać sam, a dom należy teraz do rodziny zmarłego ojca. Ktoś wspomina o sierocińcu. Mały jest przecież bękartem. Nie ma żadnych praw. Nie ma nawet nazwiska. Ktoś znowu puka do drzwi. Na progu stoi piękna, drobna kobieta w wieku około czterdziestu lat. Pani Baptista Martelli, zdradzana żona jego ojca, która musi nienawidzić bękarta. Ona jednak uśmiecha się smutno i oznajmia, że zabiera go. Rozplakał się wtedy, choć uważał się za zbyt dorosłego na łzy. Łkał przez kilka dni, podczas których odebrano mu wszystko, co kochał i cenił, a bogata rodzina Martellich wchłonęła go jak bezbronnego więźnia.

W tym momencie Bernardo zawsze się budził, a poduszka była mokra od łez. Wiedział, że jest w swoim pokoju w Residency. Tylko tu nawiedzał go ten koszmar. Miał wrażenie, jakby czas stanął w miejscu, a on wciąż był zrozpaczonym, bezradnym dzieckiem.

Wciągnął dzinsy i bez koszuli wyszedł na balkon. Zimne powietrze nocy orzeźwiło go. Oparł się o balustradę i czekał, aż minie roztrzęsienie wywołane snem. Jutro opuści Residencję i wróci do swego domu w górach, do ludu swojej matki, tam gdzie jego miejsce.

Sypialnia Bernarda znajdowała się nad pokojem panny młodej i jej przyjaciółki. Naraz przypomniał sobie Angie - strojącą sobie z niego żarty, na jakie nikomu by nie pozwolił, wnoszącą ciepło w jego twarde, pozbawione radości życie.

Wrażenie było tak silne, iż początkowo, gdy dobiegł do niego z dołu jej dźwięczny śmiech, sądził, że wyobraźnia płata mu figla. Nagle usłyszał:

- Psst! - A gdy spojrzał w dół, ujrzał ją, siedzącą na kamiennej krawędzi tarasu. Patrzyła na niego z szelmowskim uśmiechem.

Nigdy nie był lwem salonowym. Jego bracia umieliby się zachować w takiej sytuacji, ale on poczuł się, jakby przyłapano go na czymś niestosownym. W dodatku nie był kompletnie ubrany. W tej samej chwili zauważył refleks księżycy na jej nogach i rozrzucone włosy, jakby dopiero co wstała z łóżka. Był prawie pewien, że pod kusą tuniką jest naga. Poczucie przyzwoitości kazało mu zignorować tę myśl, była w końcu gościem rodziny. Nie mógł jednak zignorować jej figlarnego spojrzenia ani reakcji własnego ciała na myśl o jej nagości.

- Wszystko na odwrót! - zawołała do niego.

- Co jest na odwrót? - Nie zrozumiał, o co jej chodzi.

- To przecież Julia stoi na balkonie, a Romeo spogląda na nią z dołu.

Jej głos zabrzmiał w ciemności dźwięcznie i słodko. Bernardo mógł tylko patrzeć na nią bez słów.

- Nic nie powiesz? - Przechyliła głowę jak śliczny ptaszek.

- Tak, miałem zapytać, czy wstałaś podziwiać świt. Niedługo się zacznie.

- Musi być tu piękny.

- Jest piękny. Ale jeszcze piękniejszy jest wysoko w górach. Tam, gdzie mieszkam. -

Przed następnym zdaniem Bernardo wziął głęboki oddech. - Cieszę się, że widzę cię teraz, bo wczesnym rankiem wracam do siebie.

- Ach tak. Nuta rozczarowania, dźwięcząca w jej głosie, obezwładniła go. To, co powiedział, zaskoczyło jego samego.

- Może wybrałabyś się tam ze mną?

- Z przyjemnością.

- Wyruszamy bardzo wcześnie.

- W żadnym razie! - odpowiedziała tłumionym okrzykiem, który miał jednocześnie wyrazić oburzenie i uszanować sen innych. - Wstaję wcześnie, kiedy chodzę do pracy. Teraz jestem na wakacjach!

Uśmiechnął się szeroko, oczarowany.

- Zaczekam. Ale teraz idź do łóżka, bo zaśpisz. Angie zaśmiała się i zniknęła, a Bernardo jeszcze przez długi czas wpatrywał się w miejsce na tarasie, gdzie przed chwilą stała. Wiedział, że naraził na niebezpieczeństwo swój spokój. Gdyby był rozsądny, wyjechałby od razu, posyłając jej przez służącego liścik z przeprosinami.

Nie miał jednak zamiaru tego uczynić. Nagle wcale nie chciał być rozsądny.

Następnego ranka zapanowała gorączka wyjazdów. Lorenzo wyjeżdżał do Sztokholmu, gdzie miał coś jeszcze załatwić przed ślubem, a Renato i Heather zamierzali

wy płynąć jachtem, by ułatwić Heather podjęcie decyzji o spędzeniu na nim podróży poślubnej. Angie grzecznie odrzuciła propozycję przyłączenia się do nich, wyjaśniając, że wybiera się w góry z Bernardem.

- Pamiętaj, masz być ostrożna - ostrzegła ją Heather.

- Co to za przyjemność być ostrożną? - mruknęła cicho Angie.

Starannie dobrała strój: białe dzinsy i ciemnoniebieski jedwabny top. Lekko elastyczny materiał bluzki przylegał do ciała, ukazując miłe dla oka kształty. Zgrabne sandaalki i delikatny srebrny naszyjnik z dopasowanymi kolczykami dopełniały stroju. Dodała jeszcze odrobinę wyszukanych perfum.

Nie spóźniła się, ale Bernardo już na nią czekał. Jego dżip z napędem na cztery koła mógł poradzić sobie nawet w bardzo trudnym terenie. Samochód pasował do właściciela - był prosty, mocny i wytrzymały.

Minęli Palermo i po pewnym czasie droga zaczęła wiać się pod górę. Niebawem znaleźli się w małej wiosce o stromych i krętych uliczkach. Na szczycie wzniesienia stała śliczna różowa willa ze spiralnymi schodami na zewnątrz.

- Ta wioska to Ellona - powiedział Bernardo. - Należy w większości do Baptisty. Łącznie z posiadłością Bella Rosaria. Kiedyś był to nasz letni dom. To tam... - Bernardo przerwał nagle i wycedził przez zęby jakieś włoskie słowo, które zabrzmiało jak przekleństwo.

- Co powiedziałeś?

- Nic takiego. - Zaczerwienił się.

- Ale coś zacząłeś mówić.

- Już zapomniałem. Spójrz w górę. Wspaniały widok. Z dala od żywego wybrzeża krajobraz Sycylii stawał się coraz bardziej surowy.

- Całe bogactwo skupia się na wybrzeżu. W głębi lądu walczymy o przetrwanie. Mamy pola, owce, kozy. Czasami jest dobrze, ale ogólnie nie jest łatwo.

- My? - zapytała Angie.

- Moi ludzie - odparł po prostu. - Ci, których los i utrzymanie ode mnie zależą.

Po chwili zapytał ją:

- Nie przeszkadza ci wysokość? Niektórzy źle znoszą zakręty na górskich drogach.

- Nie ja. - Angie starała się być dzielna, choć czuła, jak oczy zasnuwa jej lekka mgielka.

Kręta górską drogą wiodła ich coraz wyżej i wyżej, a Sycylia zdawała się coraz chętniej odsłaniać swoje uroki. Wokół kwitły akacje i drzewa cytrynowe, a w dali Angie



mogła jeszcze dojrzeć jasną smugę morza. Krajobraz stawał się coraz bardziej dziki. Zostawili za sobą sosnowe lasy, przed nimi rozciągała się teraz wyżyna z winnicami, nad nimi zaś widoczne były domki wioski, położonej malowniczo nad stromym urwiskiem.

- Mieszkańcy opuścili je dawno temu. Trudno mieszkać tu zimą - powiedział Bernardo.

Po przejechaniu następnych kilometrów wyciągnął rękę i rzekł:

- Spójrz! Angie podniosła się z siedzenia. Na samym szczycie góry ujrzała miasteczko, jakby wykute w skale. Ten zapierający dech w piersiach widok mógłby być wręcz posepny, gdyby nie łagodził go piękny czerwony odcień skalnej ściany. Angie usiadła z powrotem, nie odrywając oczu od czarownego zjawiska.

- To właśnie średniowieczne Montedoro. Większość tutejszych zabudowań liczy sobie około siedmiuset lat.

Wjechali przez starą bramę i znaleźli się na stromej brukowanej ulicy. Ludzie z zaciekawieniem przyglądali się przybyszom. Nie ulegało wątpliwości, że Bernardo jest tu wszystkim dobrze znany.

Jechali wolno, gdyż ulica była pełna turystów. W pewnej chwili tuż przed nich wytoczył się z bocznej uliczki kolorowy powóz. Był zaprzężony w dwa muły udekorowane frędzlami i piórami, godne uwagi były także zdobienia samego wozu.

- Czy to jest jeden z tych słynnych sycylijskich malowanych powozów? - zapytała Angie z ożywieniem.

- Zgadza się. Jeden z moich znajomych, Benito, wraz z synem zarabia latem, oferując turystom przejażdżki takim wozem.

Jechali wolno, więc mogła podziwiać do woli ornamentację wozu. Koła, łącznie ze szprychami, pokryto wzorami, zaś boki zdobiły postacie świętych, wojowników oraz smoki.

Gdy dotarli do szczytu, Bernardo skręcił w prawo, w śliczną uliczkę szarych kamiennych domów z żelaznymi balustradami balkonowymi. U jej wylotu znowu skręcił w prawo. Zjeżdżali teraz w dół, w stronę bramy miasta.

- Ale przecież...

- Montedoro zbudowano na planie trójkąta - wyjaśnił, śmiejąc się, Bernardo. - Do domu pojedziemy znów pod górę.

Znaleźli się wreszcie na szczycie, gdzie przy małym placu przycupnęło kilka butików i kawiarenka z ogródkiem. Jaskrawe markizy ocieniały stoliki. Bernardo zaparkował samochód i poprowadził Angie kolejną wąską uliczką. Było tu tak ciasno, a kamienice tak wysokie, że panował prawie mrok. Kiedy Angie przyzwyczaiła się do ciemności, ujrzała w

ścianie przed sobą wąskie drzwi.

- Witaj w moim domu. - Bernardo otworzył przed nią wejście do zaczarowanego świata.

Nie kryła zdziwienia. Spodziewała się ciemnego korytarza, a tymczasem znalazła się na otwartym dziedzińcu. Wzdłuż jego bocznych ścian biegły arkadowe krużganki, a na środku wesoło tryskała fontanna.

- Nie myślałam, to znaczy... nigdy bym nie zgadła, że mieszkasz w takim miejscu.

- Ojciec zbudował go dla mojej matki. Wiele domów w Montedoro posiada takie małe dziedzińce, aby kobiety i dzieci mogły spędzać tu czas, nie wychodząc na zewnątrz.

- Mężczyzna szanujący tradycję - zauważyła Angie.

- Nie tylko. Tutejsi ludzie nie byli życzliwi matce. W ten sposób ją chronił.

- To niesamowite, jak ten dom jest ukryty. Stojąc przed tamtymi sklepikami, nigdy bym się nie domyśliła, gdzie jest.

- O to właśnie chodzi. Życie na zewnątrz wrze, szczególnie latem, gdy ściągają tu roje turystów. Wszystkie sklepy nastawiają się na zagranicznych gości, a bogate rodziny z Palermo uciekają tutaj przed upałami, chroniąc się w swoich letnich domach. Potem lato przemija i pozostaje tylko miejscowa ludność.

- Jak liczna?

- Mieszka tu około sześciuset osób. Miasto wygląda wtedy jak wymarłe.

- Jak ci ludzie żyją, kiedy turyści wyjadą?

- Wielu pracuje w winnicach, które widziałeś po drodze. Należą do Martellich, a ja nimi zarządzam.

Po raz kolejny zwróciła uwagę na dziwną nutę w jego głosie, gdy mówił o rodzinie Martellich. Jakby sam do niej nie należał.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon i Bernardo przeprosił ją na chwilę. Angie, pozostawiona sama sobie, rozejrzała się po dziedzińcu. Nie był tak imponujący jak ogrody Residenzy, lecz jego surowa elegancja robiła duże wrażenie.

Angie usiadła na brzeжку kamiennej fontanny i spojrzała w lustro wody. Tafla odbijała jasny błękit nieba, a tuż za swoim odbiciem Angie ujrzała twarz Bernarda. Przyglądał się jej i była ciekawa, czy zauważył, że ona również widzi go w lustrze wody. Chwilę później jego twarz znikła.

Wysoka kobieta około pięćdziesiątki wyszła z kuchni. Bernardo przedstawił ją jako Stellę, swoją gospodynię. Stella powitała Angie doskonałą angielszczyzną i zaprosiła oboje, by przed obiadem skosztowali wina i przekąsek. Czekały na nich fasolowe placki, ser z

ziołami oraz smażone pomidory z mozzarellą.

- Jeśli to tylko przekąski, to już nie mogę doczekać się głównych dań. - Angie rozmarzyła się.

- Możesz spodziewać się prawdziwej uczyty. - Bernardo nalał jej kieliszek marsali. - Stella jest zachwycona twoim przyjazdem. Uwielbia popisywać się talentami kulinarnymi, a ja niezbyt często przywożę gości.

Popijając wino, ruszyli na spacer po domu. Był piękny, ale surowy, wyposażony jedynie w niezbędne, ciężkie, dębowe meble. Na kamiennych płytach podłóg tylko gdzieś gdzie leżały proste dywany. Za ledwie kilka obrazów, nie mogących równać się z dziełami dawnych mistrzów, wiszącymi w Residenzy, ozdabiała kamienne ściany. Jedna fotografia ukazywała Montedoro z lotu ptaka. Była też dziecinna akwarela z widokiem starego miasteczka i mężczyzną odzianym w ciemny strój, jaki nosił sam Bernardo.

- Tak, to mam być ja - powiedział, widząc, na co Angie patrzy. - To dzieło dzieci z przyklaszczonej szkoły. Rewanż za sfinansowanie wycieczki.

U dołu obrazka Angie dostrzegła słowo *Grazie*.

- Jest śliczny. Często robisz takie prezenty?

- Jakieś przyjęcie bożonarodzeniowe, bilety do teatru. To maleńka szkoła, nic mnie to nie kosztuje. - Bernardo wzruszył ramionami.

W drzwiach kuchni pojawiła się Stella i odwołała na chwilę Bernarda. Angie kontynuowała obchód. Przez lekko uchylone drzwi do jednego z pokoiów dojrzała krawędź łóżka. Chwilę walczyła ze sobą, w końcu jednak weszła do środka. Wnętrze wypełniało wielkie mosiężne łoże. Przy nim, na podłodze z czerwonego piaskowca, leżał mały dywanik. Sosnowy stół, obok wiklinowe krzesło. Gdyby nie staromodny portret kobiety na kamiennej ścianie, pokój można by wziąć za celę mnicha. Angie widziała już portret ojca Bernarda, teraz miała przed sobą jego matkę. Zauważyła, jak subtelnie łączyły się w nim cechy obojga rodziców.

Twarz kobiety była intrygująca. Piękna, z wydatnymi zmysłowymi wargami, które układały się w niewyraźny uśmiech. Jednak coś w oczach, jakaś ironiczna czujność, psuła całość. Angie zreflektowała się, że jest niesprawiedliwa. Kobieta w takiej sytuacji musiała przejść niejedno. Poradziła sobie, lecz Angie zgadywała, że takie przejścia pozostawiły w jej naturze piętno, które przekazała synowi. Angie była na tyle ostrożna, by wycofać się z pokoju przed powrotem Bernarda.

Średniowieczną atmosferę jednego z pomieszczeń zakłócał nowoczesny komputer.

- To moje biuro. Dzięki Bogu za nowoczesne technologie. Błękitne niebo zagładało

przez dwa ogromne, półotwarte okna. Angie podeszła do jednego z nich, by odetchnąć świeżym powietrzem. Nagle z przerażeniem stwierdziła, że znajduje się tuż nad urwiskiem. Poczula gwałtowny zawrót głowy i zachwiała się.

Jednym skokiem Bernardo znalazł się przy niej, chwycił ją w tali i mocno przytrzymał.

- Powinienem być cię ostrzec.

- Już w porządku. Zaskoczyło mnie to. Uch!

- Odejdźmy stąd - powiedział, prowadząc ją w głąb pokoju. - Tutaj będzie lepiej.

Choć jego uścisk nie był zbyt mocny, wyczuwała stalową siłę tego mężczyzny. Jej serce biło w radosnym oczekiwaniu.

Stali tak blisko, że czuła ciepło jego ciała i przyjemny męski zapach. On musiał również zauważyć jej reakcję. Nawet tak nieokrzesany mężczyzna umiał wyczuć, że podoba się kobiecie. Pewnych rzeczy nie da się ukryć.

W jego oczach znalazła potwierdzenie swoich pragnień. Uwolnił ją jednak z objęć, stanął w bezpiecznej odległości i nieco drżącym głosem powiedział:

- Stella już chyba skończyła. Nie pozwólmy, by jej wspaniały lunch na nas czekał.

W prostym, ale pełnym uroku pokoju obok kuchni ujrzeli zastawiony stół. Przez wychodzące na krużganki drzwi balkonowe wpadał delikatny powiew wiatru.

- To magiczne miejsce - westchnęła, kiedy zasiedli do stołu.

- O tej porze roku. Zimą magia znika. Na tej wysokości chłód jest bardzo dokuczliwy. Z mojego okna widać tylko śnieg i mgły zasnuwające dolinę. Tak jakby miasto unosiło się w chmurach.

- Ale wtedy możesz przecież zamieszkać w Residenzy.

- Mogę, ale tego nie robię.

- Czyż nie jest także twoim domem?

- Nie - uciał krótko i spojrzał na nią. - Pewnie już poznałaś moją historię?

- Trochę - przyznała. - Trudno czegoś nie podejrzewać, skoro jesteś tak drażliwy na tym punkcie.

- Tak?

- Już na lotnisku, kiedy Lorenzo przedstawił cię, natychmiast sprostowałeś, że jesteś tylko „przyrodnym bratem”. Jakbyś nie chciał, by cię z nimi łączono.

- To niezupełnie tak. Po prostu nie żegluję się pod fałszywą banderą. Nie chcę uchodzić za kogoś, kim nie jestem.

- Dlaczego nie uważasz się za członka rodziny?

- Bo nim nie jestem. I nigdy nie będę. Moje nazwisko brzmi Tornese. Dla tutejszych ludzi tak właśnie się nazywam.

- Ale tylko dla nich? Zawahał się.

- Oficjalnie jestem Martelli. Baptista zmieniła mi nazwisko, kiedy jako dziecko nie mogłem się temu sprzeciwić.

- Przecież dając ci nazwisko twego ojca, nie miała złych intencji.

- Wiem i szanuję ją za to. Zresztą za wszystko, co dla mnie zrobiła. Z pewnością nie było jej łatwo przyciągnąć mnie i żyć pod jednym dachem z wieczną pamiątką niewierności męża. Okazała mi zresztą o wiele więcej dobroci. Mój ojciec kupił ten dom i kilka innych w miasteczku, prawdopodobnie z zamiarem przekazania ich mojej matce, a później mnie. Ale nie zrobił tego, więc po jego śmierci wszystkie przeszły na własność Baptisty. Ona uznała jednak, że należą się mnie, przepisała je na mnie i zarządzała nimi do czasu mojej pełnoletności.

- Wspaniała kobieta.

- Tak, nigdy nie zaniebyszyła swoich obowiązków.

- Myślisz, że robiła to z poczucia obowiązku? Nie sądzisz, że kierowało nią uczucie? Bernardo zmarszczył brwi.

- Skąd ta myśl? Przecież musiała nienawidzić mojej matki!

- Czy kiedykolwiek dała ci to odczuć?

- Nigdy. Traktowała mnie zawsze jak syna, ale ja często zastanawiałem się, co się za tym kryje.

- Jak ją poznałeś? - spytała Angie po chwili milczenia.

- Przyszła tutaj kilka dni po śmierci moich rodziców i powiedziała, że zabiera mnie do domu ojca. Nie chciałem iść, ale nie miałem wyboru. Uciekłem przy pierwszej sposobności.

- I wróciłeś tutaj. Bernardo uśmiechnął się.

- Tak. Czułem, że tu jest moje miejsce. Oczywiście zabrano mnie z powrotem, ale znowu uciekłem. Tym razem schowałem się w górach i kiedy mnie znaleźli, byłem w gorączce. Gdy wyzdrowiałem, wiedziałem już, że ucieczka nic nie da. Wiele kobiet na miejscu Baptisty pozostawiłoby mnie własnemu losowi i wiem, że byłem strasznym niewdzięcznikiem.

- Byłeś tylko dzieckiem, które utraciło oboje rodziców - powiedziała ze współczuciem. - Nic dziwnego, że zachowywałeś się nieracjonalnie.

- Tak. Gdyby to wszystko wydarzyło się nieco później, myślę, że potrafiłbym lepiej docenić wspaniałomyślność Baptisty. Wtedy jednak sądziłem, że ona chce zatrzeć pamięć o

mojej matce. Chciałem być Bernardem Tornesem.

Ponieważ powiedział jej już tak wiele, odważyła się zapytać:

- Po drodze chciałeś mi coś powiedzieć o Ellonie?

- Willa, którą tam widziałas, jest częścią posiadłości Bella Rosaria, należącej do Baptisty. To tam zabrała mnie, bym wyzdrowiał po ucieczce w góry.

Angie spojrzała na udreżoną twarz Bernarda. Czuła, że dzieje się między nimi coś ważnego i pięknego. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Bernardo uśmiechnął się.

- Czemu mówimy o takich smutnych sprawach? Wyjdźmy z winem przed dom.

Obok fontanny panował miły chłód. Angie z uśmiechem przyglądała się odbiciom w wodzie. Nagle spojrzała w górę, a napotkawszy wzrok Bernarda, poczuła falę gorąca. On delikatnie ujął jej dłoń i przytrzymał przez chwilę, jakby ze czcią. Nic nie mówił i w ciszy Angie słyszała tylko bicie własnego serca. Nie całował jej, po prostu trzymał jej dłoń nieśmiało jak chłopiec, a mimo to Angie była tak poruszona, że prawie ją to przeraziło.

Nigdy jeszcze nie straciła nad sobą kontroli, a tu nagle nad niczym nie panowała. A już na pewno nie nad własnymi uczuciami. Czuła się jak ktoś, kto wyruszył na jednodniową wycieczkę, a znalazł się w rozpedzonym pociągu, jadącym w nieznanym kierunku. Wiedziała, że za chwilę Bernardo ją pocałuje i pragnęła tego jak jeszcze niczego w życiu.

Ciszę przerwał delikatny dzwonek telefonu komórkowego. Bernardo odetchnął głęboko i z ociąganiem powiedział do słuchawki:

- Tak? Angie widziała, jak zmienia się wyraz jego twarzy. W końcu powiedział tylko:

- Zaraz tam będziemy. Wyłączył telefon i wyjaśnił:

- To Renato. Mieli wypadek na jachcie. Heather o mało nie utonęła, ale już wszystko w porządku. Prosił jednak, żebyś natychmiast przyjechała.

- Oczywiście. Już po drodze wyjaśniał zwięźle:

- Wypłynęli razem na skuterach i Heather wywróciła się. Poszła pod wodę. Na szczęście Renato szybko ją odnalazł. Dzwonił z łodzi, ale powinni dotrzeć do portu mniej więcej równo z nami.

Gdy dojechali do Portu Mondello, „Santa Maria” właśnie rzucała cumy. Angie wskoczyła na pokład.

Heather spała. Na szczęście nie była zbyt blada i oddychała miarowo. Dotyk Angie obudził ją. Uśmiechnęła się sennie.

- Nie mogło się obejść bez przygód? - spytała Angie z uśmiechem. - Renato nas zawiadomił.

Heather obrzuciła ją nieco ironicznym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że nie przerwałam ci w zbyt ciekawym momencie?

- Będą następne. - Angie czuła, że się czerwieni - Jutro masz zostać w łóżku. Jak tylko lepiej się poczujesz, pojedziemy do domu.

Nazajutrz Renato wioził je do Residenzy, a Bernardo jechał za nimi. Angie starała się myśleć o przyjaciółce, ale duszą przebywała w Montedoro, w świecie, w którym szybują orły, a człowiek jest wolny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Następny dzień Bernardo spędził w Residency, ale nie mieli dla siebie zbyt wiele czasu. Angie czuła się zobowiązana zostać przy Heather, która po dawce środków uspokajających przez większość dnia spała. Zupełnie niechcący Angie znalazła się w pułapce rodzinnego konfliktu.

- Renato dzwonił do Sztokholmu, ale Lorenzo, jak się okazało, wymeldował się rano z hotelu - powiedział Bernardo.

- Jak to, nie rozumiem. Przecież miał tam zostać do jutra?

- Wiem, ale wyjechał i nikt nie wie dokąd.

- Mam nadzieję, że nie pojechał się zabawić? - rzuciła Angie podejrzliwie.

- Co masz na myśli?

- Wyskok przed ślubem. Słyszałam, że tu, na kontynencie, mężczyźni...

- Niech mnie! - Bernardo wykrzyknął zaskoczony. - To nie tylko niesprawiedliwe, pełne uprzedzeń i... sam już nie wiem.

- No cóż, Włosi mają niezłą reputację pod tym względem - powiedziała Angie.

- I dlatego posądzasz Lorenza? Czy wszyscy Anglicy tak rozumują?

- Niekoniecznie. Ale nie znam Lorenza na tyle, by wiedzieć, na co go stać. Ty, jako jego brat, z pewnością lepiej się orientujesz, co go skłoniło do wyjazdu.

Westchnął i przeczesał dłonią włosy.

- Tak, przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam. To nie twoja wina. Spojrzał na nią z uśmiechem, który sprawił, że poczuła ukłucie w sercu.

- Chyba zaliczyliśmy pierwszą kłótnię.

- Rzeczywiście.

Wymienili smutne spojrzenia. Bernardo delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Pierwsza kłótnia. Przed pierwszym pocałunkiem. Ach, dlaczego tak rozpaczliwie go pragnę...

Poruszenie panujące w domu nie sprzyjało intymnym scenom. Odsunęli się od siebie, słysząc kroki w korytarzu. Do pokoju wszedł zdenerwowany Renato.

- Tajemnica rozwiązana - powiedział. - Właśnie dzwonił Lorenzo. Jest w drodze do domu. Najwyraźniej dziś rano odwołał wszystkie spotkania. - Głos Renata zdradzał wielkie niezadowolenie.

- Nie mógł wytrzymać bez Heather - westchnęła Angie.



- Jakie to romantyczne.  
- Nie romantyczne, tylko nieodpowiedzialne - rzucił nerwowo Renato.  
- On za kilka dni się żeni! - zaprotestowała.  
- Dzwonił z lotniska? - Bernardo wtrącił się czym prędzej, by nie dopuścić do kłótni.  
- Nie, z Rzymu, miał tam przesiadkę. Będzie tu za jakieś trzy godziny.  
- Pójdę zawiadomić Heather. - Angie wyszła, a Bernardo podążył za nią. - Żał mi Heather - powiedziała poirytowana.  
- Naprawdę. Mieć takiego szwagra.  
- Może miłość do Lorenza wszystko jej wynagrodzi - zauważył Bernardo. - Mówią, że uczucie tak działa.

Pomyślała, że może wcale nie mówił o Heather i Lorenzo.

Sam też był spokrewniony z Renatem. A jeśli... Nie wariuj. To wakacyjny romans. A on cię nawet jeszcze nie pocałował!

Wcześniejszy powrót Lorenza zmienił plany, ale nie tak, jak spodziewała się Angie. Gdy pojawił się po południu, nie przypominał człowieka, który właśnie rzucił wszystko, żeby być z ukochaną. Sprawiał raczej wrażenie, jakby go coś dręczyło. Pośpieszył natychmiast do Renata, po czym obaj zamknęli się w gabinecie. Zza drzwi dochodziły podniesione głosy. Być może Lorenzo wymyślał bratu, że ten nie opiekował się należycie jego narzeczoną. Angie miała nadzieję, że tak właśnie było. Zastanawiała się też, kiedy będzie miała następną okazję być sam na sam z Bernardem.

Okazja pojawiła się nazajutrz. Lorenzo, błądy i zdenerwowany, wyjechał do głównego biura firmy w Palermo, Baptista natomiast zażyczyła sobie spędzić dzień w towarzystwie Heather.

- Byłoby miło, gdybyś do nas dołączyła, ale chyba macie już inne plany z Bernardem?  
- Właściwie...  
- Oczywiście. Mam nadzieję, że nie zamierzasz wracać do Anglii zaraz po weselu? Może zostałabyś jeszcze tydzień?

- Dziękuję, z wielką przyjemnością. - Angie poczuła, jak wschodzi dla niej słońce.

Tym razem to ona rzuciła hasło, by pojechać do Montedoro. Bernardo zaproponował przejażdżkę po wyspie, ona jednak wolała wrócić do jego orlego królestwa, gdzie był naprawdę sobą.

Kiedy wspięli się już nieco górską drogą, Bernardo zatrzymał wóz na poboczu. Wysiedli i przeszli pod drzewa oliwne. Przed nimi leżała Sycylia w całym przepychu. Nad głowami śpiewały ptaki, drzewa stały w pełnym rozkwicie, a niebo było niewiarygodnie

błękitne. Angie zatrzymała się, by nabrać do płuc jak najwięcej słodkiego powietrza. Wtedy Bernardo wziął ją w ramiona.

Przycisnął usta do jej warg. Poczuła, jak ogarnia ją fala szczęścia. Oddała pocałunek, gwałtownie i żywiołowo, jakby zapraszając, by całował ją mocniej. Poczuła, że jego uścisk stał się pewniejszy. Rozumiał ją bez słów. Nie byli sobie obcy. Polubili się od pierwszego spojrzenia na lotnisku, a ten upojny pocałunek był tego naturalną konsekwencją.

Usta Bernarda były silne i zdecydowane, a jej własne odpowiadały mu szczerze. Nie próbowała grać. Byłoby nieuczciwe udawać powściągliwość, gdy jej serce wprost się do niego wrywało.

O nic się nie pytali, trwali w uścisku, ustami szukając swych ust. Spojrzała w jego twarz. Uśmiechał się jak człowiek, który odkrył długo poszukiwany skarb i jest nim zafascynowany, choć ciągle niepewny. Jakby nie mógł uwierzyć, że radość może być jego udziałem.

Powiódł palcami po jej policzku, jakby musiał sprawdzić, że ona tu naprawdę jest. Jego słowa to potwierdziły:

- Nie znikniesz, prawda? Myślałem o tym, odkąd się poznaliśmy, i teraz...
- Nigdzie się nie wybieram - powiedziała szczęśliwa.
- Chyba że ze mną?
- Chyba że z tobą.
- Pocałuj mnie... - Jego usta odnalazły jej wargi, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć.

Zaskoczyła ją nagła intensywność doznań. Nigdy przedtem słońce nie było tak gorące, powietrze tak słodkie, nigdy nie czuła tak bardzo, że warto żyć.

Bernardo cofnął się o krok. Drżał.

- Musimy jechać. Nie ufam sobie na tyle, by być tu z tobą sam na sam. - Pocałował ją lekko ostatni raz. - Jedziemy.

Niechętnie ujęła jego dłoń i wsiadła do samochodu. Czuła się jak we śnie.

Montedoro kwitło pełnią lata. Dzień był targowy, więc uliczkami przelewały się tłumy turystów. Na małym placu w najwyższym punkcie miasteczka stało około pięćdziesięciu kramów. Zewsząd dobiegały okrzyki: „E, signor Bernardo”. Bernardo machał na powitanie i przechodził bez słowa, ale do niektórych pozdrawiających zbliżał się na chwilę pogawędki i wtedy zawsze przedstawiał Angie. Miała świadomość, że jest uważnie oglądana.

Wstąpili na herbatę do niewielkiego klasztoru, gdzie Bernardo został powitany jako dobrodziej przez matkę Franciszkę, przełożoną zgromadzenia, oraz starszą, niewysoką siostrę, która kazała mu przyrzec, że nie odjadą, dopóki nie skosztują jej ciasta. Bernardo solennie to

obiecał, dzięki czemu Angie miała okazję spróbować migdałowych ciasteczek, najwyborniej szych, jakie kiedykolwiek jadła.

Wtem ktoś zapukał do furty. Po chwili rozległ się krzyk i płacz dziecka. Matka Franciszka wybiegła pośpiesznie. Chwilę później wróciła bardzo zatroskana.

- Dziewczynka została potrącona na ulicy, a doktor Fortuno wyjechał. Przywieźli ją do naszej izby chorych, do siostry Ignacji.

Bernardo spojrział na Angie, która natychmiast zaproponowała:

- Może mogłabym pomóc? Jestem lekarzem.

- Byłabym bardzo wdzięczna. Obawiam się, że dziecko ma połamane kości.

Klasztorna izba chorych była malutkim pokojem wyposażonym w łóżko i zestaw pierwszej pomocy. Leżąca na łóżku dziewczynka, w wieku około ośmiu lat, płakała głośno. Była z nią kobieta w czerni, o pomarszczonej, brązowej twarzy. Siostra Ignacja powiedziała do niej coś w dialekcie sycylijskim, wskazując na Angie. Kobieta natychmiast zagroziła drogę do dziecka, wykrzykując po sycylijski słowa, których znaczenie nietrudno było odgadnąć.

Siostra Ignacja starała się ją uspokoić, tłumacząc, że Angie jest lekarką! Kobieta nie słuchała. Jak taka młoda dziewczyna może być lekarzem? Angie bez trudu zgadywała przebieg rozmowy. Kobieta w czerni nie pozwalała się przekonać i z oburzeniem wskazała na spodnie Angie.

- Przykro mi, naprawdę. - Bernardo był wyraźnie zakłopotany. - To takie staroświeckie miejsce, a już szczególnie starsze pokolenie...

- Chcesz powiedzieć, że przeszkadzają jej moje spodnie?

- Swego czasu spodnie nosiły jedynie...

- „Złe” kobiety - Angie dokończyła za niego. - OK, zdaje się, że rozumiem.

Bernardo podjął próbę perswazji. Kobieta odnosiła się do niego z wyraźnym szacunkiem i dla Angie stało się jasne, że Bernardo jest tutaj „wielkim człowiekiem”. Jednak nawet szacunek dla niego miał swoje granice. Kobieta pozostawała nieubłagana.

- To nie ma sensu - powiedziała Angie do Bernarda. - Nie jesteś właściwą osobą. - Zwróciła się do matki przełożonej. - Gdyby matka zaświadczyła o moich czystych intencjach, to może...

Matka Franciszka skinęła głową. Pod wpływem jej słów kobieta uspokoiła się, choć ciągle jeszcze patrzyła na Angie nieufnie. W końcu, gdy dziewczynka zaczęła znowu łkać z bólu, poddała się.

- Dobrze, zabieram się do pracy - powiedziała Angie poważnie.

Rozpoczęła badanie pacjentki, która na szczęście nie była zbyt mocno poturbowana. Miała kilka ran i sińców, ale kości były całe. Przy pomocy siostry Ignacji Angie oczyściła i opatrzyła rany. Na koniec, pamiętając o lekarskiej etyce, powiedziała:

- Doktor Fortuno powinien ją zobaczyć, kiedy wróci. Może zechce wysłać ją na prześwietlenie, ale nie sądzę. Gdyby chciał ze mną mówić, z przyjemnością przekażę mu, co zrobiłam. - Uśmiechnęła się do dziewczynki, która odwzajemniła uśmiech. Jej babka badawczo przyglądała się im obu. Zresztą Bernardo i siostry także.

Wyszli z klasztoru, trzymając się za ręce. Bernardo zerkał badawczo na Angie.

- O co chodzi? - zapytała.

- Wyglądasz za każdym razem inaczej. Masz tyle wcieleń.

- Co ty, zawsze jestem tą samą Angie.

- W takim razie masz tysiąc twarzy. Sam już nie wiem, co myśleć.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Podniósł jej dłoń i musnął ją wargami.

- Teraz wierzę, że jesteś lekarzem. Sposób, w jaki przejąłeś kontrolę nad sytuacją. I jak wyczułaś tę kobiecinę. Miałeś rację. Oczywiście, nie mogła uwierzyć moim słowom, bo były to słowa mężczyzny. Nawet moje słowo... - urwał.

Nieświadoma wyniosłość słów „nawet moje” zwróciła uwagę Angie. Pomyślała, że Bernardo jest Martellim bardziej, niż by chciał, jednak nie podzieliła się z nim tym spostrzeżeniem.

- Chodźmy, Stella czeka na nas z jedzeniem. - Pociągnął ją za rękę.

Stella zadała sobie wiele trudu, by uprzyjemnić im posiłek. Na stole stały kwiaty, a potrawy podano na najlepszej porcelanie. Poczta pantoflowa działała tutaj sprawnie i Stella wiedziała już o dramatycznych wydarzeniach dnia. Nabrała dla Angie większego szacunku i niecierpliwie czekała na jej opinię o każdej z potraw.

- Dzięki Bogu. - Bernardo odetchnął, kiedy przy kawie wreszcie zostawiła ich samych.

- Chciałem spędzić ten dzień tylko z tobą, ale ciągle ktoś nam przeszkadzał, a teraz dzień minął.

- Jeszcze nie - odpowiedziała. Stała przy oknie z widokiem na przepiękną dolinę. Zmrok stopniowo zasnuwał wszystko oprócz kilku świateł migających hen, w dole.

To miejsce jest pełne magii, pomyślała. A być z Bernardo, to najbardziej czarowna rzecz.

Podszedł do niej.

- Cieszę się, że zobaczyłaś mój dom o tej porze. To jeden z najpiękniejszych widoków.

- Wiem, nigdy nie widziałam czegoś tak urokliwego.

- Angie. - Przysunął się do niej. Czekwała z bijącym sercem. Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Czar przysł.

- Do licha! - Bernardo odskoczył gwałtownie. - Któż to może być?

Okazało się, że doktor Fortuno bardzo chce porozmawiać z Angie. Wprost nie mógł wyrazić swej wdzięczności i gorączkowo tłumaczył swoją nieobecność. Jego pacjenci mieszkają na tak dużym terenie - a nie sposób być w dwóch miejscach jednocześnie...

Starszy człowiek wyglądał na zmęczonego. Angie pomyślała, że to skromny i dobry lekarz, chociaż najwyraźniej pozostawał daleko w tyle za zdobyczami nowoczesnej medycyny.

Bernardo nie okazał zniecierpliwienia, przyjął gościa uprzejmie, poczęstował kawą, winem i ciastem. Razem z Angie grzecznie słuchali historii doktora powtórzonej w trzech wersjach. Tak minęły dwie godziny.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Bernardo mruknął pod nosem:

- *Malediri!*

- To sycylijskie przekleństwo? - zapytała Angie z uśmiechem na twarzy.

- Nie inaczej. A teraz już czas, bym cię odwiózł do domu. - Spojrzał na nią.

- Chyba masz rację - powiedziała niezbyt pewnie.

- Zrobiło się późno, będą się o ciebie martwić.

- Tak.

- Gdyby nie Fortuno... Ich spojrzenia spotkały się i obydwójce zrozumieli, że nie mogą rozstać się bez pocałunku.

- Bernardo - szepnęła, lecz on już trzymał ją w ramionach.

- Angie - zamruczał - *amor mia*.

- Tak, o tak... Otworzył drzwi sypialni. Spleceni uściskiem przesunęli się w głąb pokoju. Angie nie myślała już o niczym. Bernardo położył ją na pościeli i objął jeszcze mocniej. Angie rozchyliła wargi. Krew w ich żyłach tętniła zgodnym rytmem, Angie czuła każdy kawałek ciała Bernarda. Cała należała do niego. Nie musiał niczego żądać, o nic prosić. Jej podniecenie narastało. Pragnęła, by jego dłonie poznały jej ciało.

I nagle, nie wiadomo skąd, w tej najpiękniejszej chwili zaalarmowała ją myśl: „Zbyt wiele szczęścia!”.

Pragnęła go. Marzyła o tym, by leżeć obok niego, poddając się namiętności. Ale co potem? Czy chciała jakiegoś „potem”? Gdyby oddała mu się teraz, zniszczyłaby coś radosnego. Z takim mężczyzną jak Bernardo nie można po prostu flirtować. On wszystko robił z tak intensywną namiętnością, jakby wkładał w to całą duszę. Dla Angie to zbyt wiele.

Z wahaniem podniosła dłoń, odpychając go.

- Bernardo, nie, proszę. Dojrzała błysk w jego oczach. Zadrżał i wypuścił ją z objęć.

Odwrócił się, przytrzymując się ramy łóżka. Oddychał ciężko. Po chwili spojrzał na nią.

- Masz rację - powiedział łamiącym się głosem. - Nie wolno mi cię tak traktować. Znaczysz dla mnie więcej niż... więcej niż wszystko. Wybacz. - Znów był sobą. - Robi się późno, muszę odwieźć cię do domu.

W milczeniu jechali krętą górską drogą. Angie wdzięczna była za tę ciszę, która dawała wytchnienie jej rozedrganym nerwom. Miała czas zastanowić się nad słowami Bernarda. Wycofał się, tak jak ona, lecz najwidoczniej z innej przyczyny. Odmowa miłości fizycznej przeniosła ich związek w głębszą sferę, w której bała się poruszać. Czowała jednak, że ta zmiana ją bardzo cieszy.

Odprowadził Angie aż pod drzwi i nieśmiało, jak chłopiec, pocałował w policzek.

- Dobranoc - powiedział, odwracając się.

- Nie nocujesz tutaj?

- Nie śmiałbym. - Uśmiechnął się melancholijnie. - Nie mogę zaufać sobie na tyle, by spać pod jednym dachem z tobą. Ale po ślubie Lorenza...

- Dobrze. Wtedy.

- A więc do zobaczenia. A teraz śpij dobrze, kochana.

Ostatni dzień przed weselem. Zakupy z Heather i Baptistą. Przyszła teściowa upatrzyła sukienkę, którą chciała podarować Heather przed podróżą poślubną.

- Wiem, że większość czasu spędzicie na wodzie, ale kiedy zawinięcie do portu, będziesz miała w czym iść na tańce. Jestem pewna, że będzie ci w niej ładnie. Mój Lorenzo to prawdziwy szczęściarz.

Kiedy Heather zniknęła w przymierzalni, Baptista uśmiechnęła się porozumiewawczo do Angie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Nigdy nie widziałam Bernarda tak szczęśliwego. Wygląda na to, że wkrótce będziemy mieli następne wesele.

- Hmm.

- Przepraszam. - Baptista zreflektowała się. - To było nietaktowne. Absolutnie nie mam zamiaru swatać cię z Bernardem. To pod wieloma względami dziwny mężczyzna. Zresztą na pewno sama zauważyłaś.

- Rzeczywiście. Wiem też, że uznałaś go za syna.

- Dla mnie on jest moim synem. Zawsze traktowałam na równi wszystkich trzech

synów Vincente. Niestety, Bernardo nigdy nie uznał mnie za swą matkę. Być może w ten sposób chce pozostać wierny Marcie. Jest takie sycylijskie powiedzenie: „Duszą mężczyzny jest jego matka. Jeśli straci matkę, nigdy już nie odnajdzie swej duszy”. Sycylia jest wciąż bardzo tradycyjnym krajem. Pod wieloma względami ciągle jeszcze tkwi w dziewiętnastym wieku. Nie dziw się zatem, że nasi mężczyźni traktują to powiedzenie bardzo poważnie. Mogę się tylko domyślać - ponieważ Bernardo nigdy mi się nie zwierza - że i tak uważa za zdradę to, że zamieszkał z nami po śmierci matki. Prawdopodobnie właśnie dlatego nigdy nie czuł się członkiem rodziny, choć wszyscy by sobie tego życzyli.

Dałam mu nazwisko jego ojca, ale nigdy go nie używa. Mógł dostać trzecią część majątku po nim - Lorenzo i Renato uznali, że byłoby to sprawiedliwe - jednak odmówił. Przyjął tylko posiadłość w Montedoro, ponieważ nie było wątpliwości, że mój mąż przeznaczył ją dla niego. Jednak nie przyjął winnic, sadów ani przetwórni. Nawet winnic w pobliżu Montedoro. Zarządza nimi - ale tylko za zwykłym wynagrodzeniem. Uparł się, że pozostanie skromnym człowiekiem, który ma bogatych braci.

Nie sądzę, żeby Montedoro przynosiło duży dochód. - Baptista uśmiechnęła się smutno.

- Ale dlaczego jest aż tak uparty? - Angie zmarszczyła brwi.

- Rozumiem lojalność wobec matki, ale to przecież trudno nazwać...

- Oczywiście, to tylko część prawdy - zgodziła się Baptista.

- Bernardo skrywa coś więcej, ale nie jestem z nim na tyle blisko, by móc go o to zapytać. Jest w nim coś mrocznego i groźnego, coś, co każe mu wieść życie pustelnika. Potrafi być szczodry, lecz jest także twardy i nieprzejednany. Kobieta, którą pokocha, z pewnością pozna jego skrywaną przed światem naturę, ale nie będzie jej wcale łatwo. Wiem tylko, że targają nim jakieś furie.

- Jakie?

- Nie mnie o tym mówić. - Baptista westchnęła. - Mogę się tylko domyślać jego sekretów. Poza tym, być może jestem w błędzie. Kiedy sam powierzy ci te tajemnice, będziesz miała pewność, że kocha cię naprawdę.

Heather pojawiła się w sukni, w której, zgodnie z przewidywaniem Baptisty, wyglądała doskonale. Zanim opuściły sklep, Baptista wybrała jeszcze diamentową broszkę. Wręczyła ją Angie pomimo oporu ze strony dziewczyny. Ich rozmowa pozostała nie dokończona.

Heather obudziła się w środku nocy i ujrzała Angie siedzącą przy oknie.

- Stało się coś?

- Nie, wszystko w porządku - Angie uspokoiła przyjaciółkę. - Właśnie śmieję się sama z siebie.

Heather wstała, narzuciła szlafrok i usiadła obok.

- Chodzi o Bernarda, tak?

- Tak.

- Dlaczego więc śmiejesz się z siebie? - Heather objęła przyjaciółkę.

- Bo byłam taka pewna, że znam tę grę. Tańczyłam w takt romansów i kończyłam taniec, kiedy tylko chciałam. To była gra i wszyscy byli tego świadomi. Żadnych złamanych serc. A przynajmniej nie moje - dodała z rozbrajającą szczerością. - Myślałam, że Bernardo to kolejny wakacyjny flirt. A tu proszę, jaka pomyłka! - zaśmiała się cicho. - Tego tańca nie potrafię przerwać!

- A chciałybyś?

- Nie - powiedziała Angie na poły ze śmiechem, na poły ze łzami. - Kocham go aż do bólu. Ciągłe o nim myślę.

- Ale przecież znasz go dopiero parę dni.

- Wiem. I to jest w tym wszystkim najgłupsze. Wystarczyło kilka dni, a nawet kilka chwil. Wydaje mi się, że wiedziałam już na lotnisku, iż to on. To przez niego żaden poprzedni romans nie mógł być poważny. Na niego czekałam cały czas, a teraz go znalazłam. Nie mogę już bez niego żyć.

- Chyba nie ma takiej konieczności. Bernardo jest co najmniej tak samo zakochany, jak ty. Nie wspominał ci o tym?

- On w ogóle niewiele mówi - powiedziała Angie, ale jej oczy dopowiedziały resztę.

- Angie, naprawdę się cieszę. Jesteś szczęśliwa?

- O tak, tak, bardzo. Gdyby jeszcze on powiedział coś, co by to przypieczętowało! Zaśmiała się nagle i ukryła twarz w dłoniach. - Czy to wszystko nie zakrawa na wielki żart? Miałam ich wszystkich na skinięcie palcem i życie płynęło beztrudnie. A teraz to mnie ktoś owinał sobie wokół palca i to już nie jest śmieszne. Trafiła kosa na kamień...

Nagle poczuła przyływ gwałtownej radości, w której dźwięczała jednak nutka cierpienia. Zdesperowana skrzyżowała ramiona na piersi i mocno zacisnęła powieki, wyczerpana silnymi emocjami.

- Och, Heather - wyszeptwała. - On jest po prostu moim przeznaczeniem.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień ślubu Heather wstał jasny i piękny. Sprzed Residenzy wyruszył sznur samochodów, wioząc do katedry tłum gości.

Panna młoda oraz jej drużna wyglądały olśniewająco. Jedwabna kremowa suknia Angie urzekała prostotą. Na jej tle skóra dziewczyny wydawała się gładka jak aksamit.

Heather trafnie zinterpretowała błysk w oczach przyjaciółki:

- Coś mi się wydaje, że niektóre sycylijskie zwyczaje są podobne do angielskich. Na przykład ten dotyczący drużny i drużby państwa młodych.

Angie właściwie nie widziała Bernarda od dwóch dni. Poprzedniego dnia pojawił się wprawdzie w Residenzy, ale cały czas zajmował się z braćmi ostatnimi przygotowaniem, a potem we trzech wybrali się na wieczór kawalerski. Dziewczyny poszły spać wcześniej, ale Angie nad ranem wyszła na taras i widziała, jak bracia wracają do domu. Miała nadzieję, że Bernardo spojrzy w górę i zauważy ją. Kiedy tak się nie stało, zrozumiała, jak nieznośny był dla niej dzień spędzony bez niego. Jeszcze tyle godzin dzieliło ich od jutrzejszego spotkania w katedrze.

Godziny zmieniły się w minuty i serce Angie biło przyśpieszonym rytmem. Wraz z panną młodą i Renatem wsiadła do limuzyny.

Podczas jazdy przyglądała się Heather.

Tak właśnie powinna wyglądać panna młoda, pomyślała.

Piękna, promieniejąca szczęściem i radością na myśl o ślubie z ukochanym mężczyzną. A on czeka już na nią przed ołtarzem.

Bernardo także tam czeka, u boku pana młodego. Ale on nie będzie przyglądał się pannie młodej. Jego oczy będą zwrócone wyłącznie na nią - Angie. Była tego pewna. Być może nawet uśmiechnie się do niej tym swoim poważnym uśmiechem, od którego drżało jej serce. Ona mu odpowie, a ludzie to zauważą i będą wymieniać porozumiewawcze spojrzenia, bo wszyscy dobrze wiedzą, że jedno wesele pociąga za sobą następne.

Zamyśliła się. Nigdy nie planowała rzucić pomyślnie rozwijającej się kariery w kraju. Tymczasem miała do wyboru albo to, albo stracić Bernarda. Jej serce zabiło niespokojnie. Odkąd kilka dni temu nazwała go swoim przeznaczeniem, zdała sobie sprawę, że nie ma już dla niej odwrotu.

Przypomniała sobie poprzednie romanse, krótkotrwałe wybuchy namiętności, od których uciekała, zanim pojawiło się niebezpieczeństwo. Tym razem niebezpieczeństwo wisiało nad nią od pierwszego spotkania, a mimo to ani myślała uciekać.

Limuzyna zatrzymała się przed katedrą. Angie starannie poprawiła suknię i welon Heather. Po chwili wszyscy weszli do świątyni. Organy zagrzmiały triumfalnie, kiedy orszak ruszył główną nawą...

Coś było nie tak. Zdenerwowany Bernardo biegł w ich stronę. Lorenzo zniknął. Potworna wieść z trudem docierała do Angie. To nie mogła być prawda. Lorenzo zaraz się pojawi. Niestety. Zamiast niego do kościoła wbiegł kilkunastoletni chłopiec, wcisnął jakąś karteczkę w ślubny bukiet Heather i natychmiast uciekł.

Angie widziała, jak Heather czyta wiadomość od Lorenza i jak jej twarz blednie. Przysunęła się bliżej i zajrzała do listu. Lorenzo pisał, że nigdy nie chciał tego małżeństwa i zgodził się na nie jedynie pod naciskiem Renata. Był to najpotworniejszy list, jaki panna młoda mogła dostać w dniu ślubu.

Bernardo także go odczytał. Angie spojrzała w jego twarz. Miał w oczach pierwotny gniew żądnego krwi Sycylijczyka.

Baptista słuchała pobladła i wstrząśnięta. Kiedy zrozumiała, że jej syn porzucił swą narzeczoną w dniu ślubu, zakryła oczy dłonią i zachwiała się. Renato złapał ją w ostatniej chwili.

- Połóżcie ją na ziemi - nakazała Angie, odrzuciwszy swój bukiet i przeistaczając się w jednej chwili w lekarza. Uklękła obok Baptisty.

- Czy to atak serca? - zapytał z napięciem w głosie Renato.

- Nie wydaje mi się, ale lepiej zawieźć ją do szpitala. Renato bez słowa wziął matkę na rękę i skierował się do wyjścia z kościoła. Bernardo podążył za nim.

Wsiadli do pierwszego samochodu. Angie i Heather pojechały następnym. Kiedy dotarły do szpitala, bracia nerwowo spacerowali po korytarzu. Pod pozornym spokojem Bernarda Angie wyczuwała napięcie. Przypomniała sobie, jak skomplikowane były jego relacje z Baptista. Musiało go to teraz dręczyć. Chwyliła jego dłoń, chcąc go pocieszyć.

Heather spojrzała na swoją ślubną kreację, która nagle wydała się jakimś koszmarnym żartem. Błada, ale spokojnym głosem poprosiła, by Bernardo zadzwonił do Residenzy, żeby pokojówka Baptisty przywiozła im coś do przebrania.

Renato i Bernardo zostali wpuszczeni do Baptisty. Później wezwano Heather. Angie została sama, nerwowo przemierzając korytarz, dopóki nie pojawiła się Heather. Wyglądała żałośnie.

- O co chodzi? - Angie wystraszyła się.

- Miałam po prostu nadzieję, że wyjedziemy stąd natychmiast, ale Baptista nalega, żeby zostać. Musiałam jej obiecać, jest taka słaba. Tylko jak ja mam mieszkać pod jednym

dachem z Renatem i nie móc mu powiedzieć, jak bardzo go nie znoszę?

Renato - zauważyła Angie - nie Lorenzo.

Nagle zapragnęła znaleźć się w objęciach Bernarda.

Residenza opustoszała. Wszyscy goście wyjechali. Zapadał zmierzch i dom pogrązał się w ciemnościach. Heather zniknęła gdzieś, szukając samotności, a Angie schroniła się w ogrodzie. Aż do tej pory trzymała się dzielnie z uwagi na chorobę Baptisty i przez wzgląd na przyjaciółkę. Teraz jednak opanowała ją wściekłość. Miała ochotę krzyknąć, zedrzeć z nieba księżyc, który w taką noc błyszczał, jak zawsze, obojętnie. Rozgoryczenie na rodzinę Martellich gnało ją tam i z powrotem po zwirowanych alejkach ogrodu.

- Angie - z cienia dobiegł ją głos Bernarda. Spojrzała na niego, nie zatrzymując się.

- Wiem, co czujesz. I co o nas myślisz.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co ja w tej chwili myślę - powiedziała gwałtownie. - Gdyby tu był Lorenzo, tobym... bym... Jak on mógł coś takiego zrobić? Narazić ją na takie upokorzenie! Widziałeś jej twarz?

- Tak. I jest mi wstyd za brata. Nie myśl, że chcę go usprawiedliwiać.

- Nie udałoby ci się. Jak? Nie ma wytłumaczenia dla takiego obrzydliwego, tchórzliwego...

- Chyba i Renato nie jest bez winy, skoro to on nalegał na ich małżeństwo.

- Jak to do niego pasuje! Nigdy go nie lubiłam, a teraz nienawidzę obu!

- Kochanie, zatrzymaj się. - Starał się ją uspokoić, ale odepchnęła jego dłoń.

- Nie zbliżaj się do mnie - ostrzegła go. - Mam ochotę kogoś zamordować.

Udało mu się ją zatrzymać, lecz kiedy spojrzał w jej oczy, przestraszył go ich twardy wyraz. Zauroczyła go swoim pogodnym i łagodnym usposobieniem, a potem profesjonalizmem, z jakim zajęła się małą dziewczynką. Nie przypuszczał jednak, że w środku jest ze stali.

- Nie mów o nienawiści. Nie ty - poprosił.

- Nic na to nie poradzę. Nigdy nikogo nie nienawidziłam, więc nie wiem teraz, jak z tego wybrnąć. Heather jest dla was nikim, obcą dziewczyną, którą można potraktować, jak się chce.

- Jesteś niesprawiedliwa. Cieszyliśmy się z jej przyjazdu, traktowaliśmy ją z szacunkiem.

- A potem zebraliście się wszyscy, by zobaczyć jej upokorzenie - wybuchła.

Wzmocnił uścisk, lekko potrząsając ją za ramiona.

- Więc wszyscy jesteśmy tacy sami, tak? Nienawidzisz nas wszystkich? Każdego z

nas?

- Oj, przestań być taki logiczny - powiedziała wyczerpana. - Nie potrafię teraz myśleć logicznie. Po prostu nie zwracaj na mnie uwagi.

- Nie mogę! - odparł, obejmując ją mocniej i nachylając ku niej głowę.

Próbowała bronić się przed pocałunkiem, ale usta Bernarda uspokajały. Poza tym i tak by jej nie wypuścił. Chciał, żeby zapomniała o wszystkim poza nim samym.

- Nie możesz mnie nienawidzić - wyszeptał.

- Ja nie... Nie Ciebie... po prostu... - Dalsze wyjaśnienia utonęły w podnieceniu, które wywoływał tak łatwo.

Cóż jeszcze mogło się liczyć oprócz tego, że byli tu teraz we dwoje, sami? Wtuliła się w niego mocno. Tak bardzo za nim tęskniła. Ogarniało ją słodkie ukojenie, jakby uścisk Bernarda mógł naprawić świat. Delikatnie dotknął jej twarzy.

- Cśś, zapomnij o wszystkim. Myśl tylko o nas. Wyglądałaś dziś tak pięknie.

- Miałam nadzieję, że ci się spodoba.

- Chciałaś mi się podobać? Mam ci tyle do powiedzenia, ale to nie miejsce ani pora. Jak tylko Baptista poczuje się lepiej, wracam do Montedoro. I chciałbym, żebyś pojechała ze mną.

- Nie mogłabym zostawić Heather.

- Kochanie, ona jest silna. Pozwól jej zmierzyć się z tą rodziną na jej własny sposób. Nie możesz tego zrobić za nią. Jedź ze mną, tam gdzie jest nasze miejsce, gdzie będziemy tylko my.

- Tak - powiedziała z radością. - Tak, zgadzam się.

- Być może tam znajdę słowa, by ci powiedzieć... że cię kocham... Nie wiem, czy to możliwe, ale spróbuję.

- Powiedz mi teraz - poprosiła.

- Nie potrafię ładnie mówić - rzekł skromnie. - Nie potrafię powiedzieć ci, czym dla mnie jesteś. Znamy się przecież tak krótko, a ja myślę o tobie, kiedy tylko się obudzę i gdy zasypiam, w głębi serca tulę cię do snu. A potem jesteś w moich snach. O wszystkim powiem ci tam, w górach. Tak bardzo bym chciał, żeby mój dom jak najszybciej stał się naszym wspólnym domem.

Trzymając się za ręce, doszli aż pod drzwi jej pokoju.

- Jutro wcześnie rano wyjedziemy stąd. Dobrej nocy. Pocałował ją delikatnie, ale wyczuła, że tłumi poruszenie równie wielkie, jak to, które sama odczuwała.

- Dobranoc - szepnął jeszcze raz i oddalił się. Angie wśliznęła się do pokoju. Był

pusty. Zastanawiała się, gdzie może być Heather i czy nie powinna jej poszukać, gdy właśnie w tej chwili przyjaciółka wróciła. Wyglądała mizernie, ale była spokojna.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Angie z niepokojem.

- Tak, wszystko w porządku. Rozmawiałam z Renatem. Zwymyślałam go - odparła Heather głosem wypranym z emocji.

- Skoro Lorenzo gdzieś się ukrywa, pozostaje tylko Renato - stwierdziła Angie gorzko.

- Nie wiń Lorenza. Dziś wieczorem wyciągnęłam kilka informacji od Renata - powiedziała Heather nieoczekiwanie. - Nie chciał, ale musiał przyznać się do kilku rzeczy.

- Na przykład?

- Lorenzo chciał być ze mną szczerzy kilka dni temu. Wrócił wcześniej ze Sztokholmu, ponieważ chciał mi wyznać, że ma wątpliwości i pragnie przełożyć ślub. A Renato mu nie pozwolił. Dasz wiarę? Powiedział mu nawet, że przeżyłam już kiedyś rozstanie, więc Lorenzo ma obowiązek wywiązać się z obietnicy.

- Udusiłabym go - wyrwało się Angie gniewnie.

- Jesteś druga w kolejce. Dobrze i to, że przynajmniej nie będę z nim spokrewniona. Och, nie mam już siły o tym dzisiaj myśleć. Jestem taka zmęczona.

- Będiesz mnie jutro potrzebowała? Heather uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Nie, dam sobie radę. Jedź z Bernardem. Moja droga, tak się cieszę, że przynajmniej jedna z nas będzie szczęśliwa.

- Heather otoczyła przyjaciółkę ramieniem.

Chociaż Angie ciągle miała skrupuły, czy powinna zostawiać przyjaciółkę samą, wkrótce przekonała się, że Bernardo miał rację, twierdząc, iż Heather powinna poradzić sobie samodzielnie z zaistniałą sytuacją. Angie po raz pierwszy przekonała się o sile Heather. Poprzedniego wieczoru, kiedy Lorenzo chyłkiem wrócił do domu, nie unikała spotkania z nim. Przywitała go z godnością i spokojem, a nawet z pewną dozą humoru, co powiększyło jeszcze jego zawstydzenie. Heather była obecna także, kiedy Baptista wróciła ze szpitala. Starsza kobieta wciąż do niej lgnęła jak do córki.

- Pod wieloma względami są do siebie podobne - powiedział Bernardo. - Z kolei Lorenzo i Renato chodzą wokół Heather jak po rozżarzonych węglach. Nie wiedzą, co myśli i to ich dręczy. Dobrze im to robi. Rozumiem, czemu Baptista tak nalega, żeby Heather pozostała przy niej.

Angie i Bernardo byli nierozłączni. Uczyli się siebie nawzajem. Delektowali się słodką nicią porozumienia, jaka nawiązała się między nimi. Angie zaczynała rozumieć, dlaczego Baptista stwierdziła, że Bernardo żyje właściwie jak biedak. W przeciwieństwie do

zastępów służby w Residency, tu na górze wszystkim zajmowała się Stella. Ona przygotowywała większość posiłków. Czasami Bernardo gotował sam. Czekał wtedy z niecierpliwością na opinię Angie. Jego dom był skromny, prawie surowy. Jedynym nowoczesnym udogodnieniem było centralne ogrzewanie, które, jak ją zapewnił, rzeczywiście przydaje się podczas srogich zim.

Kiedyś nazwał to miejsce ich przyszłym wspólnym domem, ale od tego czasu nie złożył jej oficjalnej propozycji małżeństwa. Zauważyła jednak, że robił pewne uwagi, jakby czuł się w obowiązku wyjaśnić jej wszystko.

Pewnego razu stwierdził:

- Chciałbym, żeby już była zima. Przekonałabyś się, jak jest tu wtedy nieprzyjemnie.
- Kochanie - pogłaskała jego twarz - to naprawdę niepotrzebne.

Poczuła bolesne ukłucie w sercu, widząc, jak zwykle dotknięcie dłoni i parę słów przywracają mu spokój. Wiedziała, że ją kocha, a to, jak bardzo jej potrzebował, przesądzało sprawę. Nie знаła przyszłości, ale była pewna, że nic ich nie rozdzieli. Wtulili się w siebie, splekli mocno ramionami.

- Może po południu pojedziemy na piknik? - zaproponował w końcu. - Taki dzień powinno się spędzić na słońcu.

- Świetnie.

- Przygotuję coś na ząb.

- Czy mogę w tym czasie wejść do Internetu?

- Oczywiście, zaloguję cię. - Wpisał hasło, podał jej krzesło i obiecał przynieść kawę.

Angie weszła na stronę swojego ojca i wysłała mu e - mail. Potem zaczęła przeglądać stronę w poszukiwaniu nowości. Doktor Harvey Wendham sam ją tworzył i był z niej dumny prawie tak samo jak z luksusowej kliniki na Harley Street.

- Skubaniec. Nieźle mu idzie - zachichotała.

Był cenionym chirurgiem plastycznym, a wśród jego pacjentów nie brakło gwiazd ze świata filmu i polityki. Przez lata pracował za marne wynagrodzenie, „inwestując czas” - jak to nazywał, ale teraz odcinał kupony i cieszył się z tego. Angie wiedziała, że ojciec jest rozczarowany faktem, iż żaden z jego synów z nim nie pracuje. Liczył na najmłodsze dziecko. Jednak Angie wahała się. Dostała kilka innych propozycji. Niektóre były dość atrakcyjne, inne oferowały niewiele poza ciężką pracą, niską płacą i wielką satysfakcją zawodową.

Teraz decyzja zapadła. Kochała Bernarda i on ją kochał. Już nie mogłaby go opuścić.

- Kawa dla signoriny - Bernardo zawołał śpiewnie, otwierając sobie drzwi i wnosząc tacę z dzbankiem i dwiema filiżankami.

- Och, jak cudownie! Zaczęła nalewać kawę, gdy Bernardo z zainteresowaniem zerknął na ekran komputera.

- Coś się stało? - zapytała, kiedy wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego, co brzmiało mało sympatycznie.

- Ten facet nazywa siebie lekarzem! Przecież jemu chodzi tylko o nabijanie własnej kieszeni.

- Podobno jest bardzo dobry w tym, co robi - zauważyła Angie, śmiejąc się w duchu na myśl o tym, jaką minę zrobi Bernardo, kiedy pozna prawdę. Nazwiska jej ojca nie było w tej chwili na ekranie.

- I cóż on robi? - powiedział szyderczo. - Tylu ludzi na całym świecie potrzebuje pomocy lekarza, a on zajmuje się chirurgią kosmetyczną. Ma dar od Boga, a wykorzystuje go, by robić pieniądze.

- Całkiem niezłe pieniądze, prawdę mówiąc, ale duża ich część... - Chciała powiedzieć „idzie na cele dobroczynne”, jednak Bernardo przerwał jej oburzony.

- Niezłe pieniądze! Tacy jak on myślą tylko o forsie.

- On robi wiele dobrego - powiedziała Angie, lekko zniecierpliwiona. - Nie chodzi tylko o gwiazdy filmowe. Operuje także dzieci z różnymi wadami. I tak się składa, że jest moim ojcem, więc byłabym ci wdzięczna, gdybyś przestał go obrażać.

Spojrzał na nią dziwnie.

- To twój ojciec? Angie wróciła do poprzedniej strony z nazwiskiem - Doktor Harvey Wendham - po czym spojrzała na Bernarda, szukając w jego twarzy wyrazu zakłopotania. Mogliby wtedy skwitować wszystko śmiechem. On jednak wyglądał, jakby otrzymał poważny cios.

- Bernardo, coś się stało? Źle się czujesz?

- Nie, nic. - Opanował się szybko, ale jego uśmiech zdradzał głęboki smutek, jakby coś w nim umarło.

- Bernardo! - Angie nagle poczuła, że ogarnia ją lęk.

- Po prostu nie wiedziałem, że pochodzisz z tak bogatej rodziny.

- W porządku, jesteśmy bogaci, ale... Czy to coś zmienia?

- Może nie, nie powinno.

- Właśnie, ja to ciągle ja.

- Myślałem, że jesteś biedna! - wybuchnął. - Ty i Heather.

- Heather zawsze była biedna jak mysz kościelna.

- Ale mieszkacie razem?

- Przyjaźnimy się. Dom należy do mnie. Heather mieszka ze mną, bo lubimy być razem. Kwestie finansowe nigdy nie były dla nas problemem.

- A ten dom... Czy nie znajduje się przypadkiem w najbogatszej dzielnicy Londynu?

- Owszem, w Mayfair, i co z tego?

- Co z tego? - Głos mu drżał. - Dałem się nabrać. Angie była coraz bardziej przestraszona. Sprawa wymykała się spod kontroli. Nie można było skwitować jej śmiechem.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że to coś zmienia między nami? - Siła się na lekki ton. - Dlaczego? Nie jestem zepsutą, bogatą dziewczynką. Jestem silną i ciężko pracującą kobietą.

- Tak, jesteś sobą, Angie, kobietą, którą kocham. Nic tego nie zmieni. Zresztą, w końcu to twój ojciec jest bogaty, nie ty.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się, by nie dojrzał wahania na jej twarzy. Powinna mu powiedzieć, że ojciec rok temu przepisał na nią milion dolarów, ale była pewna, że taka uwaga nie wyjdzie im w tej chwili na dobre. Jego twarz stała się nagle taka obca.

Powie mu innym razem, wkrótce. Lepiej poczekać, aż będzie przygotowany na taką wiadomość.

Pojechali na zaplanowaną przejażdżkę roześmiani, jak gdyby nic nie zaszło. Jakby udawanie mogło coś naprawić.

Bernardo zjechał nieco w dół zbocza, zatrzymując samochód w miejscu, w którym pocałowali się pierwszy raz.

- To piękne miejsce. Pamiętasz, jak byliśmy tu ostatnio? - zapytała.

W jej głosie brzmiał niepokój. Daremnie wspominać coś, co już minęło. Choć upłynęło zaledwie kilka dni, tamten moment szczęścia należał już do przeszłości.

Ich wysiłki, żeby prowadzić normalną rozmowę, tylko pogarszały sytuację. Angie nie chciała przyjąć do wiadomości, że to, co się wydarzyło, mogło stanowić poważne zagrożenie dla ich miłości. Co znaczą pieniądze? Pałacy niepokój jednak rósł.

Zasiedli do pikniku zdecydowani bronić dobrego nastroju. Angie spróbowała podjąć niebezpieczny temat, ale Bernardo uchylił się zręcznie. W końcu zapadła cisza. Bernardo położył się na trawie. Z uśmiechem pochyliła się nad nim i zobaczyła, że zasnął.

- Dobrze - szepnęła. - Obudzisz się i będzie lepiej.

Ale nie było. Kiedy spojrzał na nią, poczuła z przerażeniem, że nie wie, jak pokonać powstałą nagle między nimi przepaść.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Po bezsennej nocy Angie nie czuła się wcale lepiej, a wyraz twarzy Bernarda, kiedy przyjechał rano do Residenzy, świadczył o tym, że jest wręcz gorzej. Potraktował ją z chłodem, o jaki nigdy by go nie podejrzewała.

- Ciekaw jestem, kiedy zamierzałaś mnie poinformować - powiedział cicho.

- O czym? - zapytała z rosnącym niepokojem.

- O milionie, którego jesteś właścicielką? Boże! Nie w ten sposób, proszę! - pomyślała.

- Nie mogłam. Byłeś tak wstrząśnięty informacją o moim ojcu, że bałam się. Chciałam poczekać, aż się trochę uspokoisz i będziesz gotowy na tę nieprzyjemną wiadomość. Jak się o tym dowiedziałeś?

- Z Internetu. Szukałem całą noc informacji o twoim ojcu. Było tego całkiem sporo. Znalazłem wszystko, co kiedykolwiek o nim napisano. Tak doszedłem do tego. - Rozłożył na stole kilka kartek.

Z niezadowoleniem rozpoznała artykuł sprzed kilku miesięcy. Jej ojciec, dumny jak paw ze swego nowego nabytku - otoczonego zielenią domu - zaprosił doń dziennikarza. O niej też napisano: „W dzień oddany lekarz, wieczorem lubiąca zaszaleć dziewczyna”. Zamieszczono również jej zdjęcie, na którym w skąpej sukience tańczyła dziką rumbę. Wystarczająco wyraźnie widać było tło, by domyślić się, że działo się to w jednym z najdroższych nocnych klubów, gdzie bawi się tylko śmietanka towarzyska.

Inne zdjęcia. Ona za kierownicą samochodu, który był jej radością i dumą, a na który żaden żyjący ze zwykłej pensji lekarz nie mógłby sobie pozwolić. No i oczywiście jej dom w najbogatszej dzielnicy Londynu.

- Przez cały ten czas - westchnął ciężko - nic mi nie powiedziałaś.

- Nie miałam zamiaru cię okłamywać. Nie przyszło mi do głowy, że to ma jakieś znaczenie.

- Ale nie powiedziałaś mi o pieniądzach, jakie otrzymałaś od ojca. Zastanawiam się, jak długo chciałaś ukrywać prawdę. I jak dużo, albo raczej jak mało, byś mi w końcu wyznała.

- Mam wrażenie, że powinnam się wstydzić - powiedziała ze złością. - Nie jest zbrodnią być bogatym.

- Masz rację. Ale mogłaś być ze mną szczerą.

- Kiedy miałam być szczerą? - zapytała z niesmakiem. - W dzień naszego przyjazdu?

A może, gdy spotkaliśmy się na lotnisku? Miałam powiedzieć: „Trzymaj się ode mnie z daleka. Jestem dla ciebie zbyt bogata”? Skąd mogłam przypuszczać, że zrobisz z tego problem? Przecież sam też nie jesteś biedny.

- Martelli są bogaci, nie ja. Odebrałem minimalną część, do której miałem prawo, i nie żyję jak bogacz. Wiesz o tym dobrze. Nie mogę tego zmienić. Zbyt głęboko we mnie to wrosło. Musiałbym zdradzić swoją duszę.

- Rozumiem to, ale...

- Nic nie rozumiesz. - Bernardo był bardzo błędy. - Sam niezbyt dobrze to rozumiem. Wiem tylko, że muszę żyć w ten sposób. Miałem zamiar prosić cię o rękę. Wiedziałem, że nie byłaby to dla ciebie łatwa decyzja, bo w Montedoro nie mieszka się łatwo ani przyjemnie. Ale byłem przekonany, że jesteś taka jak ja, przyzwyczajona do trudów życia, i że miłość pozwoli ci znieść niedogodności.

- To jest możliwe - powiedziała żarliwie. - Myślisz, że nie znam trudów życia? Jestem lekarzem.

- Ale po pracy wracasz do luksusowego domu w Mayfair. Nie mogłabyś zamieszkać na szczycie mojej góry. Wydaje ci się to możliwe, ale kiedy przekonałabyś się, że tak nie jest, byłoby już za późno. I co wtedy? Uciekłabyś do Palermo albo nawet do Anglii, kto wie.

- Widzę, że masz na mój temat niezłą opinię. Myślisz, że jestem słabeuszem, który nie potrafi dawać ani kochać.

- Nie, ale znam to życie, a ty nie. Wiem, co cię tu czeka. Widziałas Montedoro latem, w pełnym słońcu. Ale zimą turyści wyjeżdżają, a miasto spowija zimna mgła, przejmująca chłodem aż do szpiku kości. Wiatry wyją nieprzerwanie tygodniami, jest posepnie i ponuro.

- W takim razie, czy Palermo to złe rozwiązanie? To przecież też Sycylia i... - urwała na widok wyrazu jego twarzy. - OK. Nie powinnam była tego mówić.

- Przeciwnie. Cieszę się, że powiedziałaś. Dlaczego nie miałabyś mieszkać w komforcie do jakiego jesteś przyzwyczajona? Tylko że ja nie mogę tak żyć. Jest coś, czego nie mogę w sobie przezwyciężyć. To mnie napędza, zmusza do rzeczy, których nie chciałbym robić. I muszę być temu posłuszny.

- W porządku. Więc użyjmy moich pieniędzy. Możemy wydać trochę na twój dom, uczynić go przytulniejszym, A zimą moglibyśmy przecież mieszkać w Palermo.

- Mam żyć z twoich pieniędzy? - Był błędy jak ściana.

- Skoro je mam? Co moje, to twoje.

- Nigdy! - To słowo zadźwięczało jak uderzenie. - Brać pieniądze od ciebie?! Myślisz, że mógłbym to zrobić?

- Dlaczego nie? W dzisiejszych czasach...

Kiedy powiedziała „w dzisiejszych czasach”, uświadomiła sobie, z jaką rzeczywistością się zderza. Bernardo nie należał do nowoczesnych mężczyzn o nowoczesnym podejściu do kobiet. Coś go dręczyło, a fakt, że w dzieciństwie został wchłonięty przez bogatą rodzinę, uczynił go zgorzkniałym. Był gotów walczyć na śmierć i życie, aby nie dopuścić do tego ponownie. Jednak Angie nie chciała się poddać tak łatwo. Jeszcze nie teraz. Ona też potrafi walczyć, a jej miłość jest tego warta.

- Musimy znaleźć jakiś sposób. - Starła się, by jej głos brzmiał pewnie. - Nie możemy tak zaprzepaścić miłości.

- Gdybyśmy się pobrali, skończyłoby się to fatalnie - powiedział smutno. - Ja nie mogę żyć za twoje pieniądze, a ty nie możesz żyć bez nich. Pewnego dnia pojechałabyś do Anglii odwiedzić rodzinę i już byś tutaj nie wróciła. A ja... - Zadrżał.

- Co byś wtedy zrobił? - wyszeptwała. Długo milczał, wreszcie zdobył się na odpowiedź:

- Myślę, że mógłbym pojechać za tobą. Przez moment nie pojęła, o co mu chodzi, i poczuła chwilową ulgę.

- W takim razie...

- Nie rozumiesz?! - prawie krzyknął. - To tylko świadczy o tym, jak bardzo cię kocham; tak bardzo, że mógłbym poświęcić honor i pobiec za tobą jak pies, błagając, byś pozwoliła mi ze sobą zostać. Mógłbym spróbować żyć twoim życiem, pogardzając samym sobą.

Angie zbladła.

- Naprawdę myślisz, że pozwoliłabym na coś takiego? Że chciałabym, byś we własnych oczach przestał być mężczyzną? Jeśli tak właśnie myślisz, to nie dziwię się, że wstydzisz się swojej miłości do mnie.

- To nie tak.

- Właśnie, że tak. - Była naprawdę rozgniewana. - Sam nie wiesz, co mówisz! Tak bardzo cię kocham! Tyle że dla ciebie kochać, znaczy być psem i ustępować kobiecie, a w swojej arogancji nie wierzysz, by którakolwiek była tego warta. Dlaczego mnie kochasz, jeśli mną pogardzasz? Czy też pogardzasz mną tylko dlatego, że mam pieniądze?

- Nie mów tak - poprosił. - Nie to miałem...

- Ale to właśnie powiedziałeś. Chcesz kochać dokładnie tyle i ani kroku więcej. Chcesz liczyć każde ziarenko, żeby mieć pewność, że nie dałeś mi więcej niż to, na co według ciebie zasłużyłam. Ja pojmuję miłość inaczej. Poświęciłabym wszystko, żeby być z tobą, i

byłabym dumna, że kocham człowieka, dla którego warto było to uczynić. Ale ty...

- Dość! Ani słowa więcej.

- Właśnie skończyłam. Nic dodać, nic ująć! Odwróciła się i wybiegła z domu. Przez następną godzinę snuła się po ulicach, usiłując zrozumieć, co się stało. Nie, to nie mogła być prawda. To tylko zły sen. Wróci, a on będzie na nią czekał z uśmiechem, obejmą się i wszystko będzie dobrze.

Jednak gdy po powrocie do Residenzy napotkała jego niespokojne spojrzenie, wiedziała, że nic się nie zmieniło. Mimo rozdarcia, nie mógł postąpić inaczej.

Pobiegła w jego ramiona, które się dla niej otwały i otoczyły ją ciaśniej niż zwykle.

- Przepraszam - szepnęła.

- Możesz mówić, co chcesz, tylko nie znienawidź mnie, proszę. Nie mam wyboru.

Nic jej tu już nie trzymało. Heather pozostawała na Sycylii na prośbę Baptisty, Angie zarezerwowała więc jeden bilet z Palermo do Londynu. Bernardo odwiózł ją na lotnisko i w przygnębiającej ciszy czekali na ogłoszenie jej lotu. Angie czuła się jak na pogrzebie.

W końcu musiała przejść przez bramki do poczekalni, do której Bernardo już nie mógł wejść.

- Przebacz mi - powiedział ochryplym głosem. - Gdybym mógł, zgniótlbym tę barierkę, ale to jest silniejsze ode mnie. Ciągle cię kocham. Nigdy nie pokocham nikogo innego. Ale nie potrafię tego zmienić.

Położyła dłoń na jego policzku, patrząc z czułością i łagodnością. Bernardo dotknął wargami wnętrza jej dłoni. Nazwała go arogantem, ale teraz nie wyglądał na aroganta. Był chory i złamany nieszczęściem. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, mogłaby mieć nadzieję, że w ostatniej chwili się podda. Ale nie Bernardo.

- Bernardo... - szepnęła.

- Idź - powiedział błagalnie. - Idź, zanim pęknie mi serce.

Angie zamierzała po powrocie z wakacji spokojnie rozważyć wszystkie oferty zatrudnienia. Teraz jednak podjęła pracę w klinice ojca tylko dlatego, że mogła zacząć od zaraz. Nie zniosłaby bezczynności.

To była dobra decyzja. Praca w klinice Wendhama stawiała o wiele trudniejsze wymagania, niż można by sądzić jedynie po jej bogatych pacjentach i astronomicznych kosztach leczenia. Harvey Wendham był świetnym chirurgiem, który zdobył sobie reputację najlepszego w branży. Rozpoczął szkolenie córki na swoją asystentkę i wkrótce praca całkowicie wypełniła jej czas.

Jednak wciąż miała zbyt wiele pustych wieczorów, a praca stopniowo przestawała

pełnić rolę antidotum na jej ból. Szybko opanowała tajniki zawodu. Ojciec był zachwycony, bracia gratulowali jej. Otoczona aurą sukcesu, czuła się zagubiona i samotna jak na pustyni.

Jak zawsze miała adoratorów. Większości z nich już na starcie nie dawała żadnych szans, ale zgadzała się czasem na jakiś obiad czy tańce. Kiedyś być może podobałoby się jej, przynajmniej przez chwilę, teraz nie mogła powstrzymać się od porównań. Jakże byli inni od Bernarda, który zawsze mówił to, co myślał, nawet jeśli miał tym zrazić sobie ludzi. Po pierwszej randce nigdy nie następował dalszy ciąg.

Wszystko, co robiła, wydawało się pozbawione sensu, czasami nawet praca. Dawała z siebie wszystko, bo taka była z natury, jednak nic nie mogło złagodzić jej smutku. Satysfakcja zawodowa nie pomagała zatrzeć bolesnego wspomnienia o Bernardzie.

Z początku miała nadzieję, że Heather wkrótce wróci, ale z rozmów telefonicznych dowiedziała się o nieprawdopodobnych zdarzeniach, jakie miały miejsce na Sycylii. Otóż Baptista - ku zdumieniu wszystkich - miała własny pomysł na zażegnanie skandalu: zaaranżowanie małżeństwa z...

- Renato??? - Angie nie kryła zdumienia. - To jakiś niedorzeczny żart. Przecież ty nie możesz na niego patrzeć?

- Tak też jej powiedziałam. Że jedyne, na co mam ochotę, to kopnąć go w łydkę. A ona na to, że jak będziemy małżeństwem, to mogę to robić codziennie.

Angie mimo woli roześmiała się.

- Trzeba przyznać, że Baptista jest niepowtarzalna.

- Ona uważa, że skoro jej rodzina mnie obraziła, teraz musi to nadrobić.

- To jakieś średniowieczne zasady.

- Oni są Sycylijczykami, Angie. Są inni od nas. Być może i mają w sobie coś średniowiecznego. W pewnym sensie trzeba ich jednak za to podziwiać, nawet jeżeli nie do końca ich rozumiemy.

- Tak - Angie westchnęła. - Wiem coś o tym. Heather przeniosła się do Bella Rosaria, by uniknąć swatania Baptisty. Ale to nie mogło trwać zbyt długo. Wkrótce Heather powróci i Angie znów będzie miała przyjaciółkę przy sobie.

Niestety, pewnego wieczoru ponownie odebrała telefon i tym razem usłyszała niesamowitą wieść: Heather zgodziła się na małżeństwo z Renatem.

- Chciałabym, żebyś była moją druhną. Możesz się stamtąd wyrwać?

- Z pewnością. - Angie z trudem zbierała siły, by zadać następne pytanie. - Heather, czy Bernardo...?

- Nie wie, że cię zapraszam. I nie zamierzam mu o tym mówić.

- Ale czy on...?

- Jest bardzo nieszczęśliwy. Być może to odpowiednia chwila, byś wróciła.

Kiedy skończyły rozmawiać, Angie opadła na sofę i poddała się tęsknocie. Zobaczyć ponownie Bernarda, usłyszeć jego głos, być może znaleźć się w jego ramionach. Może to niezbyt rozsądnie tak go zaskakiwać, ale nie miała siły odmówić Heather. Rozpłakała się. Bez sensu. Od tygodni nie była taka szczęśliwa, choć było to szczęście zaprawione goryczą i niosło zapowiedź nowego cierpienia.

Przestań się roztkliwiać! - rozkazała sobie. Odwaga zwycięża. Masz być odważna.

Kiedy poprosiła o urlop, ojciec spojrzał na jej bladą twarz i bez słowa wyraził zgodę. Na dzień przed ślubem Heather przyleciała do Palermo. Przyjaciółka czekała na nią na lotnisku.

- Bernardo jest wciąż w Montedoro i nie pokaże się tu aż do jutra rana. Zjemy w mieście, a potem wślizniemy się do domu bocznym wejściem, tak żeby służba cię nie zobaczyła.

Przy kolacji Heather próbowała wyjaśnić, dlaczego zgadza się poślubić mężczyznę, którego nigdy nie lubiła.

- Baptista wszystko przemyślała. Jest zdecydowana zatrzymać mnie w rodzinie. Wilę Bella Rosaria dostałam od niej jako posag. Nawet po moim zerwaniu z Lorenzem, nie chciała słyszeć o jej zwrocie. Muszę poślubić Renata, żeby posiadłość została w rodzinie.

- A co on na to?

- On dostanie z powrotem Bella Rosaria, a tego właśnie chce.

- To wszystko? - Angie spojrzała na nią podejrzliwie.

- No i... czuję się tu jak w domu. Pokochałam Sycylię, a to wystarczający powód, by zostać.

- Aha. - Angie nagle doznała olśnienia. - Jesteście zakochani!

- Kto mógłby się zakochać w Renato? - zaprzeczyła Heather z przekonaniem. - Po ślubie będzie wygodniej się z nim klócić.

- W porządku. Będiesz miała burzliwe małżeństwo.

- Zobaczysz! - powiedziała Heather ponurym głosem, śmiejąc się.

- Jesteście zakochani! To dlatego czubiliście się od samego początku!

- Kto to wie?

- A co z Lorenzem? Czy ta sytuacja go nie przerosła? Heather uśmiechnęła się.

- Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek mogło zawstydić tego młokosa. Nasze małżeństwo nie skończyłoby się dobrze i teraz oboje o tym wiemy. Nie uwierzysz, ale

ostatnio jesteśmy z moim „młodszym braciszkiem” w niezłej komitywie.

Pojechały do Residenzy, gdzie udało im się niepostrzeżenie wejść domu.

- Czy Bernardo rzeczywiście niczego nie podejrzewa?

- Nie ma o niczym pojęcia. Dowie się dopiero jutro rano w kościele. Schronił się w swoim gnieździe na szczycie góry.

Odwiedzał mnie czasem, kiedy mieszkałam w Bella Rosaria. Zawsze pod pretekstem, żeby sprawdzić, czy czegoś mi nie brakuje, ale za każdym razem udawało mu się skierować rozmowę na twój temat.

- Czy powiedziałaś mu, że pracuję u ojca?

- A nie powinnam?

- To żaden sekret.

- Nie jest z nim dobrze. Bardzo wychudł i zmizerniał. Zupełnie jak ty.

- Miałam dużo pracy - powiedziała szybko Angie.

- Tak jak i on - odparła Heather. - Ale zdaje się, że nie rozwiązało to ani twoich, ani jego problemów.

Położyły się spać, lecz Angie nie mogła zasnąć. W końcu wstała, zarzuciła pled na ramiona i wyszła na taras. Serce bolało ją na wspomnienie pierwszego wieczora. Siedziała właśnie tutaj, a gdy spojrzała do góry, na balkonie zobaczyła Bernarda. Teraz ujrzała pustkę.

Popatrzyła na góry. Gdzieś tam wysoko, w Montedoro, cierpiał mężczyzna, którego kochała. Wiedziała, że myśli o niej. Przepelniała ją radość zaprawiona goryczą i lękiem.

Następnego ranka nie opuszczała pokoju, dopóki nie nadszedł czas wyjazdu do katedry. Tym razem zamiast Renata jechał z nimi kuzyn, który miał prowadzić narzeczoną. Tak jak poprzednio, pierwszym drużbą był Bernardo.

Samochód zatrzymał się, Angie poprawiła suknię Heather i weszły do katedry. Serce biło jej gwałtownie na myśl, że zobaczy Bernarda. Jak on zareaguje na jej widok?

Szły główną nawą. Chóralna pieśń rozbrzmiewała słodko ponad głowami. Bliżej i bliżej, i już tam był, szczuplejszy niż w dniu ich rozstania. Czy to rozłąka tak na niego podziałała?

W końcu ją zauważył. Tylko na chwilę jego rysy stężały, a potem z kamienną twarzą przeniósł wzrok na pannę młodą. Angie wzięła głęboki oddech. Nic nie potrafiła odczytać z tego krótkiego spojrzenia. Ceremonia ciągnęła się w nieskończoność, a ona stała wpatrzona w jego plecy, zastanawiając się, czy nie popełniła błędu.

Renato i Heather wymienili obrączki. Byli małżeństwem. Najdziwniejszy związek świata, pomyślała Angie. Dwoje ludzi, którzy nigdy nie powiedzieli sobie nic miłego i choć

się kochali, nie chcieli się do tego przyznać. A ona i Bernardo zniszczyli swoją miłość, choć połączyła ich od pierwszego spojrzenia.

Ceremonia dobiegła końca. Organy zagrzmiały, gdy młoda para kroczyła szpalerem wzdłuż kościoła. Angie szła za nimi z podniesioną głową. Idący obok Bernardo na pozór jej nie zauważał, lecz w rzeczywistości był tak samo świadom jej bliskości, jak ona jego.

Z katedry jechali razem. W końcu jest szansa by porozmawiać, pomyślała. Wykorzystaj ją.

- Spodziewałeś się mnie? Delikatnie ujął jej dłoń.

- Myślę, że tak, w jakimś sensie. Zastanawiałem się, czy Heather cię tu ściągnie.

- Mogłeś ją poprosić. Potrząsnął głową i zrozumiała, że nigdy by tego nie uczynił.

Ten skryty mężczyzna nie byłby do tego zdolny.

Zebrał się w sobie i teraz już zrećcznie udawał grzeczną obojętność.

- Miło cię widzieć. Co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Tak sądzisz?

- Nigdy nie widziałem cię piękniejszej.

Mówił prawdę. Jej jedwabna suknia w bardzo jasnym odcieniu żółci skrojona była tak, by miękko opinać ciało. Włosy zdobił wianuszek z kwiatów, a jedyną biżuterią były perły w uszach. Przez chwilę sycił oczy jej widokiem, pełen tęsknoty, której nie potrafił ukryć.

Nie trwało to długo. Uśmiechnął się i stało się jasne, że znów zamknął się w sobie, ale ta chwila wystarczyła. Angie udało się go przejrzeć. Poczowała przyływ nadziei.

Na przyjęciu posadzono ich razem. Czuli się jak na cenzurowanym. Rozmowa na tematy osobiste nie była możliwa. Zanim zaczęły się toasty, zapytał:

- Więc zdecydowałaś się podjąć pracę w klinice ojca na Harley Street?

- Tak - odparła buńczucznie. - On jest wspaniałym chirurgiem. Wiele się od niego uczę.

- To świetnie - odpowiedział uprzejmie. - Cieszę się, że tak dobrze ci idzie.

Zdenerwowała się nagle.

- Skąd ten lekceważący ton?

- Proszę cię, ja tylko...

- Wiem dokładnie, co chciałeś powiedzieć. Wydaje ci się, że to łatwa praca. Duże pieniądze bez wysiłku. Według ciebie to wszystko, na co mnie stać.

- Czy musimy się kłócić, gdy mamy tak mało czasu?

- Mogliśmy mieć tyle czasu, ile dusza zapagnie. Musieli przerwać. Rozpoczęły się toasty i przemówienia.



Potem zaczęły się tańce. Heather i Renato zawładnęli parkietem.

- Angie, świetnie cię widzieć. Zatańczysz? Przed nią stał Lorenzo. Heather miała rację. To, co innego młodego człowieka na pewno by onieśmieliło, na nim nie zrobiło żadnego wrażenia. Uśmiechnęła się i przyjęła jego dłoń, jednak w tym samym momencie ktoś inny chwycił jej rękę.

- Nie - cicho powiedział Bernardo. - Wybacz, Lorenzo. Ten rzucił im łobuzerski uśmiech i natychmiast znalazł sobie inną partnerkę. Bernardo ujął mocniej jej dłoń. Pozwoliła mu poprowadzić się na parkiet. Czowała jego drżące ciało przy swoim. Teraz była już pewna, że on wciąż ją kocha. Wyglądał, jakby wydarto mu serce.

Nie odzywała się. Wystarczyło, że przez chwilę byli razem, że była w jego ramionach.

- Nie powinnaś przyjeżdżać - powiedział cicho. - Tęskniłem za tobą.

- Dlaczego więc miałam nie przyjeżdżać?

- Dlatego właśnie, że tęskniłem - westchnął. - Twój widok mnie osłabia, a muszę być silny.

- Czemu tak mówisz? Czy miłość jest słabością?

- Byłoby słabością poddać się miłości - powiedział rzeczowo. - *Amor mia*, nie rozumiesz? Ty jesteś rajskim ptakiem, a Montedoro jest tylko dla orłów.

- Tak mało o mnie wiesz. A może i ja jestem orłem?

- Przestań, proszę. Nie wiesz, co mówisz. Był jednak tak wzruszony, że pomimo swoich słów przytulił ją mocniej. Angie przerwała nagle taniec i pociągnęła go za sobą na dwór. Świeciły gwiazdy.

- Angie...

- Zamknij się i pocałuj mnie - powiedziała, przyciągając go ku sobie.

Jego drżenie podpowiedziało jej, że walczyłyby z pragnieniem, gdyby mógł, lecz nie miał tyle sił. Zebrała całą odwagę i była teraz górą, całowała go tak, jak lubił, tak żeby ich szczęście powróciło.

- Nie możesz drugi raz mnie pożegnać - wyszeptała.

- Angie, proszę, nie... nie niszcz mnie.

- Próbuję tylko przeszkodzić ci w zniszczeniu nas obojga. Pragniesz mnie, prawda?

- Wiesz, że tak.

- To wystarczy, by chwycić się mocno za ręce i skoczyć w przepaść. Kochany, wszystko, czego nam trzeba, to odrobina odwagi.

Jej pocałunki torturowały go zapowiedzią rozkoszy. Szalał. Zauważyła, że nie miał siły opierać się. Jego dłonie zniszczyły dzieło, nad którym fryzjer spędził tyle czasu. Pukle

włosów opadły jej w nieładzie na ramiona, a usta Bernarda podążyły za nimi, zostawiając na jej ramionach gorący ślad.

- Nie kuś mnie. Czarodziejko, będę z tobą walczył.

- Będę cię kusić, aż staniesz się tak odważny, by podjąć ryzyko wraz ze mną. Jeśli żadne z nas nie może żyć w świecie drugiego, zbudujmy wspólny.

- Nie - szepnął ochryple.

- Tak, mój kochany, wykorzystajmy tę szansę, skoczmy z najwyższego szczytu Montedoro i poszybujmy razem jak orły.

- To szaleństwo.

- Nie myśl o tym. Czy nie tęskniłeś za moimi pocałunkami?

- Pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek, ale to niczego nie zmienia.

- To zmienia wszystko - powiedziała, przyciskając usta do jego warg. - Jesteś mój, należysz do mnie, a ja należę do ciebie. Nie pozwolę ci odejść.

Nagle do jej požądania dołączył gniew. Złapała go za ramiona i potrząsnęła nim, wbiła w niego płonący wzrok:

- Kochamy się, czy nie to jest najważniejsze?

- Być może mniej ważne, niż ci się wydaje. Myślisz, że nie spędzałem bezsennych nocy, marząc o tobie, pragnąc cię, mówiąc sobie, że świat mógłby przestać istnieć, gdybym choć raz mógł kochać się z tobą?

- To kochaj się ze mną, teraz, mój pokój jest obok. Dość pytań i nie podjętych decyzji.

- Jednak ze świtem odzyskiwałem rozsądek. Łatwo powiedzieć, że świat mógłby zginąć. W rzeczywistości on nigdy nie przepadnie. Jak dużo czasu zajęłoby nam, żeby się znenawidzić, gdybyśmy razem zamieszkali? Ty nie możesz żyć moim życiem, a ja twoim. Zniszczylibyśmy się nawzajem. Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć?

- Bo jesteś dla mnie wszystkim! - krzyknęła w zapamiętaniu i gniewie. - I być może miłość mnie ogłupiła, bo wydaje mi się, że wszystko się uda, jeśli oboje będziemy kochać. Wolę już moją głupotę niż twoje przekonanie, że nic nie jest możliwe, a miłość nie jest warta tego, by o nią walczyć.

Nagle uświadomiła sobie, że wszystkie jej zabiegi poszły na marne. Poczowała ból w sercu. Cofnęła się gwałtownie.

- Cóż, widać nie warto było walczyć! - krzyknęła. - Być może należę do innego świata, ale nie masz prawa odebrać mi możliwości podejmowania własnych decyzji. Być może rzeczywiście zniszczylibyśmy się, będąc razem, ale nie z przyczyn, o których myślisz, tylko dlatego, że nie mogłabym być z mężczyzną, który ignoruje zdanie innych, któremu się

wydaje, że kobieta musi go pytać, co ma robić. Zegnaj, Bernardo. Wydawało mi się, że popełniłam błąd, wracając tutaj, ale teraz się cieszę. Nie będę dłużej cierpieć.

Wybiła północ. Dom pogrążył się w ciszy. Angie stała na tarasie. Wiedziała, że jest tutaj po raz ostatni.

- A więc był upartym osłem jak zwykle? - Z cienia dobiegł ją ironiczny głos Baptisty.

- Niestety - odpowiedziała gorzko. - Myślałam, że tęsknił za mną tak, jak ja za nim, i że to zmieni jego decyzję. On jednak...

- Tak, Bernardo nigdy nie zmienia decyzji. Będzie cię kochał całe życie i będzie przez to tak cierpiał, że wolę o tym nie myśleć.

- A ja?

- Dziecko, dobrze wiem, że cierpisz. Ty jednak jakoś to przetrwasz i znowu pokochasz. Być może nie tak jak jego, ale też mocno. Jesteś otwarta i pełna radości. Wiesz, jak korzystać z życia. A Bernardo... - Baptista westchnęła. - Niestety, on jest twardy, właściwie zatwardziały; nie wie, co to kompromis. Ukrywa siebie nawet przed samym sobą. Jedna kobieta - tylko jedna - znalazła sposób, żeby wywieść go na chwilę ku słońcu. Jeśli ją straci... Pomyśl, jakie będzie jego życie. Zimne i pełne goryczy.

- Wiem - szepnęła Angie. - Kiedy myślę, że jest tam w górach całkiem sam, podczas gdy moglibyśmy być tacy szczęśliwi. - Zagryzła wargi, ale nie mogła powstrzymać łez. - Jemu się wydaje, że jestem tylko rajskim ptakiem. - Wybuchnęła płaczem. - A ja chciałam być orłem!

- Bądź nim!

- Jak, kiedy on mi na to nie pozwala?

- Nie pozwala? - Głos Baptisty tym razem był ostry. - Czy należysz do kobiet, którym mężczyźni muszą pozwalać? Myślałam, że stać cię na więcej. Rób to, w co wierzysz. Nie pytaj go o pozwolenie. Tylko słabe kobiety mówią: „Gdyby tylko...”. Silne działają.

- Przecież chciałabym, tylko nie wiem jak.

- Za to ja wiem - powiedziała Baptista. - Chodź, powiem ci.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zimą Montedoro pustoszało. Na uliczki wypełzała nieprzyjazna mgła. Większość sklepików i kafejek pozamykano. Odgłos kroków na bruku odbijał się echem o zimne mury.

W miasteczku zostało zaledwie kilkaset osób, z których większość tłoczyła się w tej chwili w wąskiej uliczce, przyglądając się przeprowadzce. Dwie ciężarówki czekały na rozładowanie. W pierwszej przywieziono meble. Nie było ich wiele, ponieważ nowy lekarz odkupił praktykę doktora Fortuno w całości - także dom wraz z wyposażeniem. Największym sprzętem było łóżko, zresztą bardzo luksusowe, wykonane z pięknie polerowanego orzecha, z grubym sprężystym materacem. Wyglądało na to, że niełatwo będzie przenieść mebel przez wąskie drzwi wejściowe. Był duży. Zbyt duży jak na jedną osobę.

Hmm!

Druga ciężarówka była jeszcze bardziej interesująca. Lepiej zorientowani wiedzieli, że te duże metalicznie połyskujące przedmioty, to wyposażenie gabinetu lekarskiego. Wielu szeptało w zadziwieniu:

- Doktor Fortuno nigdy nie miał nic takiego.

- Był stary. Mówią, że od czasu uzyskania dyplomu nie przeczytał ani jednej książki.

- Więc kim jest ten nowy?

- To kobieta.

- Nie żartuj!

- To ona, tam.

- Co? Ta drobina? Mogłaby być moją córką! Pomimo swej kruchości i młodego wyglądu, nowa lekarka umiała działać. Kiedy zaoferowała dwadzieścia tysięcy lirów każdemu, kto pomoże nosić rzeczy, wśród bezrobotnych zimą mężczyzn nastąpiło poruszenie. W kilka chwil wszystko wyładowano, a puste ciężarówki mogły odjechać.

Coraz więcej gapiów pchało się do środka, by zobaczyć nowego lekarza.

- Być może pamiętacie mnie z zeszłego roku - powiedziała po włosku. - Doktor Fortuno wyjechał i ja przejmuję jego obowiązki.

Angie odetchnęła głęboko i rozejrzała się. Twarze wokół nie zdradzały niczego. Postawiła wszystko na jedną kartę, lecz oni nie mogli się dowiedzieć, jaką miała treść. Oprowadziła ich po gabinecie, objaśniając przeznaczenie nowego wyposażenia. Trochę się obawiała, chciała nawet prosić, by niczego nie dotykano, okazało się to jednak zbędne. Nikt nawet nie próbował. W ich oczach nie dostrzegła wrogości, ale też ani śladu serdeczności. Była tu obca.

W końcu ktoś zapytał:

- Gdzie jest doktor Fortuno?

- Wyjechał do Neapolu, do siostry - odpowiedziała.

- I już nie wróci?

- Nie, nie wróci - potwierdziła z ciężkim sercem. - Czy widzieliście...

Jednak nikt już jej nie słuchał. Tłum nagle zaczął się rozstępować.

W drzwiach stał Bernardo. Patrzył na nią z takim niezadowoleniem i gniewem, o jakie nigdy nie posądziłaby kochającego mężczyzny. W pierwszej chwili cofnęła się, lecz zaraz podniosła głowę. Wiedziała przecież, że nie będzie łatwo.

Ludzie odsunęli się i obserwowali ich z pewnej odległości.

- Co ty wyczyniasz?

- Przejęłam praktykę po doktorze Fortuno. Dziwię się, że nie doszły cię jeszcze żadne plotki.

- Doszły mnie, jak tylko przejechałem główną bramę. Wiesz, o co pytam. Dlaczego ty?

- A dlaczego nie? - Spojrzała mu w oczy.

- Bo ty tutaj nie pasujesz.

- O tym przekonam się sama. Zbliżył się do niej.

- Dlaczego musisz wszystko utrudniać? To nie jest miejsce na gry. Najdalej za tydzień będziesz miała dosyć.

- Już ci kiedyś mówiłam, że jestem twardsza, niż ci się wydaje.

- A ja ci mówiłem, że to nie jest miejsce dla ciebie. Tu jeszcze nigdy nie było lekarza - kobiety. I długo nie będzie. Musisz wyjechać.

- A kto mi każe? - Zaczynała się denerwować.

- Nie pozwolę, byś tu została. Jasne?

- Wystarczająco. Nie rozumiem tylko, jakim prawem chcesz mnie stąd wyrzucić. Ten dom należy teraz do mnie, tak jak i cała praktyka. Klasztor też nie jest twój.

- A co ma do tego klasztor?

- Siostra Ignacja jest wykwalifikowaną pielęgniarką. Będzie mi pomagać. Siostry są zachwycone, że nowy lekarz jest kobietą.

- Ale jak...? - Bernardo przecesał włosy palcami. - Jakim sposobem zdobyłaś pozwolenie na praktykę lekarską w tym kraju?

- Posiadam wystarczające kwalifikacje. Jedyne problem stanowiła biurokracja. Ciągłe jakaś komisja musiała zatwierdzać dokumenty, a takie rzeczy ciągną się w nieskończoność.

- Właśnie. Więc jak...?

- Baptista przekonała Fortuno, żeby zrezygnował. Zresztą, doktor nosił się z tym zamiarem już od dłuższego czasu, szukał tylko kupca. Kiedy moje dokumenty były gotowe, Baptista zaangażowała kuzyna Enrico, który zna kogoś w sycylijskich władzach regionalnych. On z kolei znał wysoko postawionego urzędnika w Rzymie, ten zaś pociągnął za sznurki i cała sprawa zakończyła się pomyślnie w ciągu kilku miesięcy.

- Baptista. - W głosie Bernarda zabrzmiała gorycz. - Znowu ona.

- Może myślała, że mam prawo się sprawdzić. Bo widzisz, Bernardo, twój stosunek do mnie jest, delikatnie mówiąc, obraźliwy. Zdecydowałeś, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra.

- Nigdy tak...

- W każdym razie na to wyszło. Niewystarczająco dobra dla ciebie, niewystarczająco dobra dla twego domu. Rajski ptaszek wychowany pod kloszem. Tym razem musisz mnie wysłuchać. Jestem dobrym lekarzem i mam zamiar sprawdzić się także tutaj. Na początek sprowadziłam najnowocześniejszy sprzęt, o jakim doktorowi Fortuno nawet się śniło i na który nigdy nie mógłby sobie pozwolić. Ja mogłam, bo mam te śmierdzące pieniądze, które tak mnie zdegradowały w twoich oczach. Rozejrzyj się, spójrz, co tu dzięki nim przywiozłam. Z pomocą siostry Ignacji będę mogła przeprowadzać nawet operacje, choć mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

- A jak zamierzasz porozumiewać się ze swoimi przyszłymi pacjentami?

- Znam włoski, a poza tym większość ludzi mówi po angielsku. Nauczyli się od turystów.

- To w Montedoro. Ale twoja praktyka sięga dalej, a tam mówi się tylko po sycylijsku. Co wtedy?

- Uczyłam się przez ostatnie trzy miesiące.

- Trzy miesiące?

- Pracowałam z sycylijskim nauczycielem po kilka godzin dziennie. Mówił, że robię szybkie postępy. W razie potrzeby zatrudnię kogoś do pomocy.

- A jak spadnie śnieg?

- To sobie kupię dobre buty! - krzyknęła. - Wiem, że są problemy, ale są także sposoby, by je rozwiązywać. Dlaczego nie możesz okazać choćby odrobiny radości na mój widok?

- Wiesz, dlaczego.

- Powiem ci, co myślę - wyrzuciła z siebie. - Ty podjąłeś decyzję. Chodziło o mnie,

lecz mnie o zdanie nie zapytałeś. Przyjmij więc do wiadomości, że ja się nie zgadzam. I nikt nie będzie za mnie decydował. Nawet jeśli nie rozumiesz, że kobieta może nie zgadzać się z twoim wyrokiem. Boże, prawdziwy Martelli!

- Nie mów w ten sposób! - zaproponował ostro.

- Kiedy to prawda!

Poirytowany rozejrzył się wokół, po skromnej kuchni z wyposażeniem sprzed stuleci.

- I masz zamiar tak mieszkać?

- Nie całkiem. Zamówiłam już nową kuchnię. Zgadłeś, będzie to najnowocześniejsza i bardzo kosztowna kuchnia. Tak samo jak to. - Otworzyła drzwi sypialni, by pokazać mu luksusowe łóżko. - Mogę żyć bez luksusów, jeśli taka jest konieczność, ale dlaczego miałabym sobie odmawiać wygod tylko dlatego, że ty jesteś twardogłowy? Nie będę gorszym lekarzem przez to, że będę spała na miękkim łóżku, wprost przeciwnie. Doktor Fortuno radziłby sobie o wiele lepiej, gdyby się pozbył swojego starego siennika.

- Przepraszam... *dottore*. Przerwała im kilkunastoletnia dziewczynka, która właśnie weszła z ulicy. Uśmiechnęła się nieśmiało do Bernarda.

- Możesz posprzątać sypialnię i pościelić łóżko, Ginetto - powiedziała do niej Angie z uśmiechem. - Pościel znajdziesz w tamtych kartonach.

Kiedy dziewczynka zniknęła w pokoju, Angie wyjaśniła:

- To moja pomoc domowa. Poza wynagrodzeniem będę do niej mówić po angielsku. Matka przełożona wyszukała ją dla mnie w klasztornej szkółce. Jest starszą siostrą dziewczynki, której opatrzyłam nogę.

- Rzeczywiście, wszystko sobie zorganizowałaś - powiedział szorstko. - Moje zdanie się nie liczy.

- Nie więcej niż moje życzenia liczyły się dla ciebie. Druga runda, Bernardo, teraz gramy według moich zasad.

- I co tym sposobem osiągniemy? Czy na końcu mam się poddać i poprosić cię o rękę?

Tym razem Angie straciła cierpliwość.

- Boże, ależ ty masz o sobie mniemanie! Myślisz, że podjęłam cały ten trud, bo marzę wyłącznie o tym, żebyś zechciał się ze mną ożenić?! Cóż ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że przez ostatnie miesiące żaden facet mnie nie chciał?

Spojrzał na nią: anielska twarz otoczona aureolą włosów, zgrabna figura, stworzona, by tańczyć w kosztownych kreacjach, a nie trudzić się w nieprzyjaznych górach.

Wiedział, że nie siedziała samotnie w domu. Mógł tylko domyślać się, ilu mężczyzn miało przywilej z nią tańczyć, całować usta, które on niegdyś tak chciwie całował. Mógł, lecz

nie śmiał. Wiedział, że może od tego oszaleć. Zastanowiło go, dlaczego nigdy wcześniej nie zauważył wokół jej pięknie wykrojonych ust wyrazu wręcz stalowego uporu.

- Nigdy bym nie pomyślał, że mogłabyś być samotna... - zaczął.

- Bo jesteś głupcem - szepnęła, jednak tak cicho, że nie usłyszał. Ale zaraz znów przeszła do natarcia. - Gdybym szukała męża, nie musiałabym rzucać wszystkiego, co miałam, i przyjeżdżać aż tutaj. Miałam inne powody. OK, może i jestem tak słaba i głupia, za jaką mnie uważasz.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem.

- Powiedziałeś dużo więcej, niż ci się wydaje. Jeśli ty masz rację, to jestem sierotką, która rozklei się przy pierwszym podmuchu wiatru. Tak się nie stanie, ale chcę się przekonać. Siebie, nie ciebie. A poza tym nie przewidziałam twojej wizyty, więc byłabym szczerze zobowiązana, gdybyś zechciał już sobie pójść. Mam mnóstwo pracy.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się jej z niedowierzaniem, po czym bez słowa wyszedł.

Ja to potrafię sobie wybrać porę, pomyślała Angie, kładąc się do łóżka. Drugi tydzień stycznia, temperatury spadają poniżej zera i nie podniosą się przynajmniej przez miesiąc. Normalny człowiek przyjechałby wiosną, ale nie ja. A Bernardo ma mnie za słabeusza. Bernardo, wypchaj się!!!

Szczęście sprzyjało jej od początku, a ściślej rzecz biorąc, od chwili gdy okazało się, że ma poparcie sióstr. Drugi raz uśmiechnęło się podczas rozmowy telefonicznej z Heather, kiedy dowiedziała się o epidemii grypy w Palermo. Jak dotąd w Montedoro nie było żadnych przypadków zachorowań, Angie przystąpiła więc do błyskawicznej akcji. Wszystkie siostry zostały zaszczepione, także miejscowy ksiądz oraz ojciec Marco, plotkarz czystej wody, który akurat „wizytował” klasztor. Był krępyim człowiekiem około pięćdziesiątki o wojowniczym usposobieniu, ale dobrym sercu.

Ojciec Marco miał w życiu dwie pasje - boks oraz swój nie kończący się zatarg z Olivero Donatim, burmistrzem Montedoro. Donati, daleki kuzyn ojca Marco, człowiek łagodny i nerwowy, niezwykle sobie cenił prestiż związany z piastowanym stanowiskiem. Nie posiadał jednak cech przywódczych. Ojciec Marco użył swoich wpływów, aby Donati został burmistrzem, a teraz przy byle okazji ciosał mu kołki na głowie. Donati zazwyczaj znosił to w milczeniu, czasem jednak, przypomniawszy sobie swoją godność urzędnika państwowego, podnosił głowę, po to tylko, by ponownie stulić uszy.

Po niespełna kilku godzinach od zaszczepienia księdza Olivero pojawił się w klinice Angie, twierdząc, że jako burmistrz ma obowiązek dać przykład innym. Powstrzymując się od



śmiechu, Angie pogratulowała mu obywatelskiej postawy. Tego dnia wszystkie dzieci wróciły ze szkoły z listem podpisanym przez matkę przełożoną, ponagląjącym rodziców, aby dopilnowali, by pociechy zostały zaszczone. Mieszkańcy nie byli do Angie przekonani, ale ufali słowu matki Franciszki. Pomysł był dobry, lecz rezultat nie spełnił oczekiwań Angie. Przemysłała sprawę i opracowała plan działania.

Łomot do bramy oderwał Bernarda od kolacji. Stella otworzyła drzwi i ujrzała niewielką postać nieokreślonej płci, okutaną tak dokładnie, że jej szerokość prawie równoważyła wysokość.

- *Buona notte, dottore!* - wykrzyknęła, z trudem rozpoznając w przybyszu Angie. - Proszę wejść do środka, zaraz podam gorącą kawę.

- Dziękuję, Stello, chętnie się napiję. Dobry wieczór signor Tornese - powiedziała, chwytając dłoń Bernarda i potrząsając nią energicznie.

- Dobry wieczór, *dottore*. - Bernardo był uprzejmy, lecz nieufny.

Stella postawiła przed nią kubek parującej kawy.

- I jak tam nasza ostra zima?

- Radzę sobie, spójrz tylko. - Angie wskazała na swoje ciężkie buty i grube spodnie. - Wiesz, co mam pod tym? Całą masę czerwonej flaneli!

Stella wybuchnęła szczerym śmiechem.

- Ale ja mówię poważnie, powinnaś się w coś takiego zaopatrzyć - zapewniła ją Angie. - I ty także, signore. To wspaniały sposób, żeby nie wyziębiać ciała.

- Dziękuję, na razie się nie skarżę - odparł Bernardo. - Miło cię widzieć, ale...

- Kłamca - mruknęła prowokująco.

- Miło cię gościć w moim domu - powiedział stanowczo. - Ale nie posyłałem po lekarza.

- Nie, ani nie przyszedłeś do gabinetu. To spore zaniedbanie z twojej strony.

- Nie jestem chory. Poklepała go po plecach.

- I mam nadzieję, że nadal nie będziesz. W Palermo wybuchła epidemia grypy i przeprowadzam akcję szczepień profilaktycznych.

- Grypa? - Wyraźnie nie doceniał niebezpieczeństwa.

- Nie drwij, to tylko świadczy o twojej ignorancji. Grypa może mieć fatalne skutki, szczególnie dla starszych. Oni właśnie powinni poddać się szczepieniu w pierwszej kolejności, ale niełatwo ich przekonać. Musisz dać przykład.

- Co?

- Cieszysz się sporym autorytetem. Jeśli ty przyjdiesz, inni pójdą w twoje ślady.

Widzisz, problem polega na tym, że wielu ludzi boi się igły. Rośli, silni mężczyźni na widok igły dostają dreszczy.

- To wszystko, Stello, nie będę cię już potrzebował - powiedział Bernardo pośpiesznie. Stella wyszła.

- Bardzo mądrze. - W oczach Angie dojrzał kpinę.

- Angie! - Bernardo omal nie zgrzytnął zębami.

- Myślę, że powinieneś mówić do mnie *dottore*. Trochę więcej szacunku.

- Szacunku?!

- No cóż, chyba odrobina nie zaszkodzi - poskarżyła się. - W końcu lekarz jest filarem społeczności.

Sprowokowała go.

- Jeżeli jesteś takim filarem, to raczej nie powinnaś pokazywać wszystkim dookoła swojej bielizny.

- Wszystko dla dobra pacjenta. Daję przykład, jak radzić sobie z siarczystem mrozem. I muszę to pokazać naocznie, inaczej się nie liczy.

- Pokazujesz bieliznę?

- No i co? Przecież to nie satynowe czarne koronki. Czy jest coś prowokacyjnego we flanelowych majtkach? - Mówiąc to, rozpięła koszulę.

Bernardo gwałtownie zaczerpnął powietrza. Nawet w grubej flaneli była ponętna jak diabli. Angie przyjrzała mu się z niewinną miną. Wiedziała, że jest poruszony. Miał wprawdzie poczucie humoru, ale nie posiadał elastyczności, pozwalającej mieszać sprawy poważne z niepoważnymi, tak jak Angie robiła to w tej chwili.

- O co ci chodzi? - zapytał w końcu, niezbyt swobodnie.

- Jak to o co? O ratowanie życia. Jestem zaskoczona, że nie chcesz mi w tym pomóc. Niby dbasz o ludzi, a nie stać cię na taki drobiazg.

- Dobrze, już dobrze - przerwał jej niecierpliwie. - Podejrzewam, że jesteś przygotowana. Rób więc, co masz robić, a potem odejdz, proszę.

- Ależ nie teraz ani nie tutaj! - Potrząsnęła głową. - Chcę, żebyś przyszedł do gabinetu jutro rano. Bądź koło jedenastej, wtedy jest największy ruch. Ludzie muszą cię zobaczyć. Nie przyjmę cię od razu, żeby każdy cię zobaczył.

- Coś jeszcze? - Bernardo prawie zgrzytnął zębami.

- Na dziś koniec.

- W takim razie pójdiesz już sobie?

- Będziesz jutro?

- Będę. Dobranoc... *dottore*.

Nie miała pewności, czy przyjdzie, ale Bernardo zawsze dotrzymywał słowa. Wszedł punktualnie o jedenastej. Kiedy zajrzała do poczekalni, rozmawiał z jakąś kobietą z dwójką dzieci i podsłuchiwała wystarczająco, by przekonać się, że wywiązywał się ze swej roli. Wszedł do gabinetu, gdy w poczekalni nie było już nikogo.

- Dziękuję, signore - powiedziała oficjalnie. - Doceniam pańską pomoc.

Z trudem usiłowała skupić się na zabiegu. Kiedy podwinął rękaw, zobaczyła, że bardzo zeszcupiał od czasu ślubu Heather. Ich oczy spotkały się. Natychmiast tego pożałowała. Przyglądał się jej z nieoczekiwaną łagodnością, przypominającą stare czasy, ale ona teraz nie mogła pozwolić sobie na sentymenty.

- Prawie nic nie poczujesz - powiedziała automatycznie.

- Myślisz, że ukłucie igły to najgorszy ból na świecie? - zapytał cicho.

- Cóż, każdy ma inną tolerancję na ból - mruknęła. - Niektórych głęboko rani coś, co inni ignorują.

- Są tacy, co rozumieją tak niewiele, że wydaje im się, iż mogą igrać z czyimiś uczuciami.

- Jeśli mnie miałeś na myśli, to pudło. Jestem tutaj, aby zapewnić tym ludziom maksimum opieki lekarskiej. To nie jest gra. - Wyciągnęła igłę i przetarła miejsce ukłucia wacikiem.

- To twój cel?

- Czy może być inny? - zapytała, ponownie patrząc mu prosto w oczy.

- Nie mam pojęcia.

Kiedy odprowadziła go do drzwi, w poczekalni ujrzała obcego starszego mężczyznę o pomarszczonej i ogorzałej od wiatru i słońca twarzy, który w wielkim podnieceniu zaczął mówić, gdy tylko ją zobaczył. Nie mogła nadażyć za potokiem sycylijskich słów. Mężczyzna trochę się uspokoił, gdy Bernardo położył mu rękę na ramieniu, ale nie umilkł.

- O co mu chodzi? - zapytała Angie.

- Nazywa się Antonio Servante. Ma małą farmę kilka kilometrów stąd, mieszka tam z matką.

- Z matką? Ile on ma lat?

- Sześćdziesiąt pięć. Miał kiedyś żonę i dwójkę dzieci, ale wszyscy zmarli podczas epidemii odry. Została mu tylko matka. Prosi, byś ją zaszczepiła - wyjaśniał dalej Bernardo. - Ona jednak nie wstaje z łóżka i nie da się jej tutaj ściągnąć. Mają tylko muła.

- W takim razie jadę tam - zdecydowała Angie w jednej chwili. Łamanym sycylijskim

oznajmiła to mężczyźnie, na co on rozjaśnił się w promiennym, bezzębnym uśmiechu.

- Jak? Na mule? - zapytał Bernardo.

- Mam samochód.

- Widziałem go. Wspaniały. Tylko do niczego się nie nadaje.

- Jest wynajęty. Jeszcze nie miałam czasu kupić dzipa.

- Więc jak się tam dostaniesz? I jak chcesz się z nimi porozumieć?

- Ty mi pomożesz.

- Ostrzegalem cię, że coś takiego może się zdarzyć.

- Jeżeli masz zamiar porzestać na „a nie mówiłem”, to możesz sobie darować.

- Poczekaj - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Przyrowadzę mój wóz.

Antonio na mule powiódł ich drogą w dół od Montedoro, a później skręcił w wijącą się pod górę dróżkę. W pewnym momencie wydostali się na jałowy, nagi płaskowyż, usiany skalnymi blokami. Zrobiło jej się żal ludzi, którzy z tak niegościnniej ziemi usiłują wyżyć.

- Zastanawiam się, ilu moich pacjentów żyje w takich miejscach - mruknęła pod nosem. - Nie miałam jeszcze czasu przestudiować rejestru doktora Fortuno. Muszę to szybko nadrobić.

- Nie podejrzewam, żeby bywał tutaj na górze zbyt często. Szczególnie zimą. Jego stary motocykl nie podołałby temu, a na muła by się nie przesiadł.

- Im szybciej kupię samochód, tym lepiej.

- Potrzebny ci terenowy wóz, taki jak mój. Z napędem na cztery koła. Zresztą, nawet takim nie wszędzie dojedziesz.

Już za chwilę przekonała się, że miał rację. Przed nimi wyrosło strome wzgórze, na które prowadziła jedynie wąska ścieżka. Angie wysiadła z auta i z przerażeniem spojrzała w górę.

- To tam?

- Tak, tam.

- W porządku. To nie tak daleko. - W głosie Angie brzmiał fałszywy optymizm.

Antonio nieśmiało chwycił jej dłoń i pokazał, że ma wsiąść na muła.

- Nie wydaje mi się... - zaczęła niepewnie.

- To największy honor. Antonio kocha Nestę prawie tak jak swoją matkę - powiedział Bernardo i dodał: - Jak na muła, jest zresztą prawie tak samo wiekowa.

- Dzięki - warknęła.

- Nie pozwolisz sobie rozkazywać, co?

- Czy ty w ogóle masz zamiar być pożyteczny? Czy też będziesz tak stał i się gapił?

- Ja się nie gapię.

- Ale pożytku też z ciebie nie ma.

Zdali sobie sprawę, że Antonio im się przygląda. W końcu Bernardo powiedział:

- Wezmę twoją torbę, będziesz miała obie ręce wolne.

Pozwoliła Antoniowi podsadzić się na grzbiet Nesty, przekonana, że stare zwierzę nigdy w życiu jej nie uniesie. Jednak Nesta ruszyła rażno pod górę. Angie unikała patrzenia w dół. Nagle znaleźli się na ostrym zakręcie. Tylko metr dzielił ją od przepaści. Zamknęła oczy. Nie mogła opanować strachu. Zastanawiała się, czy w jej rodzinie byli już jacyś szaleńcy.

Bernardo przyspieszył kroku.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho.

- Tak, tak - zapewniła nieszczerze. - Tylko wołałabym, żebyś nie stapał po krawędzi.

- Myślałem, że poczujesz się bezpieczniej, jeśli odgradzę cię od przepaści.

- To miło, ale w ten sposób tylko się o ciebie martwię. Chyba nie myślisz, że mam lęk wysokości?

- Szczerze mówiąc, tak. Tamtego dnia u mnie w domu...

- Ach, nie. - Udało jej się poskromić śmiech. - Wtedy byłam po prostu zaskoczona.

Szczęśliwie dotarli na szczyt i zbliżali się do chaty. Angie zauważyła, że była to właściwie szopa i zrozumiała, z jaką biedą ma do czynienia.

Cecylia Servante zaskoczyła ją. Miała około osiemdziesiątki, choć wyglądała na więcej. Przypominała gnoma - mała i zniszczona przez klimat i trud. Jednak jej oczy i głos były pełne życia. Nie mogła wstać z łóżka, ale posłała syna do kuchni, by przyrządził dla szacownych gości kawę. Angie była zauroczona.

Cecylia mówiła tylko po sycylijsku. Angie postanowiła wykorzystać okazję i spróbować swych sił. Odrzuciła więc pomoc Bernarda. Okazało się to mądrym posunięciem. Cecylia kwitowała jej pomyłki śmiechem, a sama mówiła wolno, żeby Angie mogła ją zrozumieć. W ciągu kilku chwil rozmowy Angie nauczyła się paru nowych zwrotów i doskonale porozumiała się ze staruszką. Cecylia, ku zadowoleniu Angie, sama podsunęła rękę do szczepienia. Następnie wskazała na syna i śmiała się do łez, gdy okazało się, że Antonio boi się igły.

Angie rozejrzała się po chacie. Wszystkie sprzęty wymagały naprawy. Antonio przyniósł kawę i chleb, co, jak zgadła Angie, było zbyt kłopotliwym poczęstunkiem, ale obowiązkowi gościnności nie wolno było uchybić. Najgorszy moment nastąpił, kiedy Antonio wyjął z kieszeni pieniądze. Wtedy nagle przyszedł jej do głowy świetny pomysł.

- Żadnych pieniędzy - powiedziała stanowczo. - Zamiast zapłaty, może pan coś dla

mnie zrobić - mówiła powoli, po sycylijsku. - Ten pokój, piątek. Zrobię tu gabinet. Powie pan sąsiadom, żeby przyszli, dobrze?

Szeroki uśmiech rozlał się na twarzy Antonia. Skinął ochoczo głową i z ulgą schował pieniądze. Bernardo pomógł im ustalić szczegóły.

- Prosi, żebyś wyznaczyła godzinę, a będzie na ciebie czekał z Nestą u podnóża góry.

Kiedy już się umówili, Angie, z poczuciem, że zrobiła duży krok do przodu, przygotowała się do powrotu. Uśmiech jednak zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła, że prawie zapadła noc i ścieżka jest ledwie widoczna.

- Poczekał tutaj, przyniosę latarkę z samochodu - zakomenderował Bernardo.

- O nie - zaproponowała rażno. - Przytrzymam się ściany, nic mi nie będzie.

- Czy nie mogłabyś choć raz posłuchać, co się do ciebie mówi?

- Nie. Chodźmy. Ruszyła przed siebie, ale wyprzedził ją i kiedy doszła do połowy drogi, wrócił z zapaloną latarką. Była mu wdzięczna, chociaż za żadne skarby by się do tego nie przyznała.

- Jesteś wreszcie zadowolona? - zapytał zagniewany.

- W zupełności, dziękuję bardzo.

- Nie możesz zachowywać się rozsądnie, prawda? To zbyt łatwe dla ciebie.

- Byłoby zdecydowanie łatwiejsze, gdybyś od razu zabrał latarkę z samochodu.

- Myślałem, że wizyta potrwa krócej. Ile trwa zrobienie zastrzyku?

- Dziesięć sekund. Natomiast ocena stanu pacjenta wymaga znacznie więcej czasu.

Myślisz, że potrzebują tylko zastrzyku?

- Nie możesz im dać wszystkiego.

- Nie, ale mogę dać im więcej, niż kiedykolwiek od kogokolwiek dostali. Nie praw mi kazań, Bernardo, nic o tym nie wiesz.

- Ja? Nic o tym nie wiem?

- Byłeś tak samo przerażony ich domostwem, jak ja.

- Mógłbym pokazać ci sto takich domów. Masz zamiar w pojedynkę naprawiać każde zło w okolicy?

- Mam zamiar przynajmniej spróbować. Bez względu na to czy mi pomożesz, czy nie. Ciągłe mówisz o „swoich ludziach”, ale oni potrzebują pieniędzy. Tej brudnej forsy, której ja mam pod dostatkiem. Gdyby rzeczywiście ci na tych „twoich ludziach” zależało, ożeniłbyś się ze mną dla moich pieniędzy i wydał je na biednych. Możemy już wracać? Czeka mnie jeszcze wieczorny dyżur.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odtąd wiele zmieniło się na lepsze. W piątek rano, zgodnie z obietnicą, Antonio czekał na nią z Nestą. Zbliżając się do gospodarstwa, Angie spostrzegła tłum ludzi - Antonio spisał się na piątkę.

Otwarcie „miejscowej przychodni” okazało się zbawiennym pomysłem. Wielu pacjentów Angie żyło na takim odludziu, że wizyta w miasteczku była dla nich prawdziwą wyprawą. Dziewczyna wynajęła Nestę od Antonia i sama zaczęła odwiedzać okolicznych mieszkańców, pokonując czasem spore odległości. Coraz lepiej posługiwała się dialektem sycylijskim.

Bernardo drżał o jej bezpieczeństwo, lecz za nic nie chciała się zgodzić, by towarzyszył jej w tych wędrowkach. Duma nie pozwoliłaby jej na to! Z czasem kupiła dżipa, a poza tym nie brakowało jej wsparcia. Burmistrz Donati, któremu zależało na tym, by wszyscy wiedzieli, „kto tutaj rządzi”, gotów był stawić się na każde jej wezwanie. Ojciec Marco zrobiłby dla Angie wszystko, odkąd dowiedział się, że jej dawnym pacjentem był jeden z najsławniejszych bokserów.

Przejrawszy niezbyt skrzętnie prowadzone przez doktora Fortuno karty pacjentów, Angie zabrała się do dzieła: podczas wizyt w terenie pobierała próbki krwi i wysyłała je do laboratorium w Palermo. Wkrótce doczekała się też swojego pierwszego wielkiego sukcesu. Dowiodła bowiem, że Salvatore Vitello, cierpiący na niewytłumaczalne pragnienie, jest chory na cukrzycę. Żona Vitella płakała z radości, gdy usłyszała tę diagnozę. Jednakże sam chory nie okazał Angie ani krzty wdzięczności. Z czego miał się cieszyć? Zamiast podziwu kolegów, wzrastającego z każdym kolejnym wychylonym kuflem piwa, czekała nań teraz drakońska dieta i leki, a w razie nieposłuszeństwa, codzienne zastrzyki! Vitello czuł, że dobre czasy się skończyły. Stał się zdrowszym, ale smutniejszym człowiekiem.

Angie budziła się teraz zadowolona i pełna otuchy. Czuła, że robi coś naprawdę ważnego. Cieszyły ją też pytania Ginetty: „Czy kobiecie trudno zostać lekarzem?” albo „A gdybym tak wróciła do szkoły?”.

Pewnego ranka wydarzyło się coś niezwykłego. Angie właśnie otworzyła okno na oścież i popatrzyła na ścielącą się poniżej dolinę. Nagle ujrzała ogromnego ptaka kołującego i wzlatującego coraz wyżej. Rozpoznała go bez trudu. Złoty orzeł!

Wstrzymała oddech, a piękny drapieźnik majestatycznie zatoczył koło w blasku porannego słońca. Oto znak nadziei, na który tak długo czekała!

- I ja jestem złotym orłem - szepnęła do niewidzialnej postaci, którą nosiła w sercu. -

Jeszcze zobaczysz...

Lecz nie wszystko szło gładko. Nico Sartone, aptekarz, od pierwszego dnia był do Angie wrogo usposobiony. W młodości marzył, by zostać lekarzem, lecz brak pieniędzy zmusił go do porzucenia studiów. Był kompetentnym aptekarzem. Zapewne wiele dobrego mógłby zdziałać, gdyby nie złudzenia, którymi karmił się za czasów doktora Fortuno, iż jego wiedza medyczna dorównuje wiedzy lekarza. Pacjenci nie ufali staremu lekarzowi - zresztą nie bez racji - i po poradę medyczną zwracali się do pana Sartone. W efekcie rozkwitł nie tylko interes aptekarza, lecz i jego ego. Doktor Angelina Wendham, bystra, młoda i doskonale wykształcona, zbyt łatwo mogłaby utrzyć mu nosa.

Jak w każdym małym miasteczku, w Montedoro sporą część mieszkańców łączyły więzy rodzinne. Wpływy rodziny Sartone sięgały do wszystkich zakątków miasta i wkrótce wiele osób w sposób otwarty zaczęło okazywać Angie niechęć: nie podobało im się, że nosi spodnie, mówi obcym językiem, mieszka samotnie i ciągle ma nowe, szalone pomysły. Niepodobna było jednak odmówić jej świetnych kwalifikacji - nawet Sartone nie mógł ich kwestionować. Z czasem zaczął tracić zwolenników. Kiedy dowiedział się, że jego synowa zaprowadziła swe dzieci na szczepienie do Angie, w rodzinie Sartonów wybuchła taka burza, że całe miasto drżało w posadach. I choć Sartone demonstracyjnie okazywał młodej lekarce szacunek, Angie nie miała złudzeń co do jego prawdziwych uczuć.

Borykała się również z innymi trudnościami. Któregoś razu, kiedy krążyła po okolicy, jadąc na oklep na mule, zgubiła drogę do domu. Po wielu godzinach odnalazł ją Antonio. Dziewczyna, przemoczona do suchej nitki - w nocy rozszalała się burza - złapała ostre przeziębienie i musiała kurować się przez trzy dni. Co prawda Bernardo jej nie odwiedził, ale Stella codziennie wpadała obładowana prezentami od niego.

- Bernardo kazał mi to przynieść - powiedziała pierwszego dnia, podając Angie butelkę wina. - Najlepsze, jakie miał w piwnicy.

W głosie Stelli podziw mieszał się z zachwytem.

- Jest na ciebie okropnie zły - dodała.

- Podziękuj mu. - Angie smutno pociągnęła nosem.

- Podziękuję, kiedy zadzwoni wieczorem.

- Nie ma go w Montedoro?

- Nie. Pojechał na kilka dni do Palermo, by pomóc w przygotowaniach do przyjęcia urodzinowego signory Martelli. Ale na pewno zadzwoni, żeby spytać, jak się czujesz.

- Na pewno nie będzie mu się chciało - ponuro odparła Angie.

- Oj, będzie - zapewniła ją z przekonaniem Stella i wyszła, zostawiając Angie sam na



sam z atakiem kaszlu.

Mógłby do mnie zadzwonić, pomyślała gniewnie Angie. Chyba jednak nie zadzwoni.

I nie zadzwonił.

Urodziny Baptisty były doniosłym wydarzeniem, ale z uwagi na żonę Renata tegoroczne przyjęcie miało zaćmić wszystkie poprzednie.

Dzięki staraniom Angie w Montedoro zanotowano jedynie trzy przypadki grypy, szczęśliwie wszystkie zakończone wyleczeniem. Niestety, zaraz po powrocie Angie do pracy dwoje dzieci zachorowało na odrę. Chorzy mieszkali w miasteczku i Angie łatwiej było ich odwiedzać, ale choć najgorsze już minęło, dzieci musiały pozostawać pod stałą opieką lekarską i szanse wyjazdu do Palermo na uroczystość urodzinową coraz bardziej malały.

W Palermo panowała typowa, łagodna, choć nieco deszczowa zima. W górach klimat był znacznie surowszy, a ostatnio pogoda wyraźnie się psuła - czarne chmury, wiatr i chłód zwiastowały burzę śnieżną. Angie postanowiła zadzwonić do Baptisty i odwołać przyjazd.

- Oczywiście, twoi pacjenci są najważniejsi, moja droga - uspokoiła ją Baptista. - Przyjedziesz, kiedy tylko pogoda się poprawi.

Kilka dni wcześniej Bernardo wrócił z Palermo i złożył Angie wizytę, by ją zapytać o zdrowie. Został krótką chwilę, jakby z obowiązku. zaproponował jednak, że zabierze Angie do Palermo.

- Wiem, jak bardzo nie lubisz jeździć po górskich ścieżkach - wyjaśnił. Angie przyjęła propozycję. Nawet zaczęła już sobie wyobrażać cudowne, wspólne chwile w samochodzie, w rozświetlonej i rozbrzmiewającej muzyką Residenzy. Oczywiście wyobraźni widziała upojną drogę powrotną...

Kiedy jednak rankiem w dzień wyjazdu Bernardo po nią przyjechał, Angie czekała nań w drzwiach zdesperowana.

- Nie mogę jechać - powiedziała szybko. - Przekażesz Baptiście prezent?

- Ależ to są jej urodziny. Najbardziej cieszy ją obecność nas wszystkich. Nie możesz jej tego zrobić!

- Muszę zostać w Montedoro. Już spadło trochę śniegu. A jeśli przyjdzie zamieć śnieżna i uniemożliwi mi powrót? Co poczną ludzie bez lekarza? Rozmawiałam z Baptistą i ona podziela moje zdanie.

- Bez sensu! Doktor Fortuno nie przejmował się tak i często brał urlop.

- Szczerze mówiąc, był to przemiły człowiek, ale kiepski lekarz - odparła kwaśno Angie. - Zostawił mi swoje książki i czasopisma medyczne. Wszystkie sprzed co najmniej trzydziestu lat!

- Pamiętam, jak ojciec kiedyś powiedział, że Fortuno nie jest najbliższym lekarzem.

- Więc dlaczego nie znaleźliście kogoś z prawdziwego zdarzenia?

- Bo nie potrzeba geniusza tam, gdzie tak niewiele się dzieje.

- A jak myślisz - dlaczego nic się nie działo? Niewiele umiał zrobić, więc ludzie radzili sobie sami. Moja poczekalnia jest codziennie pełna.

- Skąd miałem wziąć lepszego lekarza? - bronił się Bernardo. - Sama powiedziałaś, że to marna posada.

- Trzeba było się bardziej postarać. Jest mnóstwo zdolnych, zapalonych lekarzy świeżo po studiach, którzy z radością by tu przyjechali. Wystarczyłoby zaoferować im godne wynagrodzenie. W każdym razie, teraz ja tu jestem. Na mnie mogą liczyć.

- Czy to oznacza, że nigdy nie będziesz miała wolnego? Angie wzruszyła ramionami.

- Sam mówiłeś, że będzie mi ciężko. Bernardo zatrzymał się w progu.

- A co się stanie, jak już będziesz miała dosyć i postanowisz wyjechać? Co oni zrobią?

- Może nie wyjadę.

- Kiedyś wyjedziesz. I kogo będzie stać, by odkupić twój gabinet - z tym drogim sprzętem?

- Pewnie nikogo. Więc muszę zostać. Ale na ciebie już czas. Pozdrów Baptiste.

Tej nocy śnieg zaczął padać na dobre. Angie przez okno swojej sypialni patrzyła na wirujące płatki. Jutro rano droga do Montedoro będzie nieprzejezdna. A więc jej decyzja była słuszna. Pocieszała się tą myślą, choć przychodziło jej to z trudem, zważywszy, że wkoło hulał wiatr, a ona była sama jak palec gdzieś na końcu nieprzyjaznego świata.

Poza tym jej poświęcenie pewnie pójdzie na marne! Nikt nawet źle się nie poczuje. Będzie tu tkwiła sama w zasypanym śniegiem domu, zamiast bawić się w Residenzy. Gdyby chociaż wiatr przestał tak wyć, pomyślała.

Wreszcie udało się jej zasnąć. Kiedy się obudziła, wokół panowała dzwoniąca w uszach cisza. Angie podeszła do okna i stanęła jak wryta.

Za oknem ścielił się krajobraz z innego świata. Tylko śnieg i mgła. Wrażenie było magiczne, a zarazem porażające. A więc przed tym ostrzegwał ją Bernardo. Poczula wkradającą się do serca rozpacz. Dotychczasowy optymizm wydał się jej bezgraniczną głupotą.

Wstała i sama przyrządziła śniadanie. Ginetta dostała kilka dni wolnego.

Weszła do Internetu i tak spędziła cały dzień: przeglądając najnowsze czasopisma medyczne.

„Pamiętaj, bądź zawsze na bieżąco - zwykł mawiać tata. W przeciwnym razie czeka

cię śmierć umysłowa”.

Jednak dzisiaj czytała tylko oczami, nic do niej nie docierało. Wczesnym popołudniem przygotowała sobie lekki posiłek i naląła kieliszek wina od Bernarda. Zaraz jednak tego pożałowała - jeden kieliszek wyglądał tak samotnie. W domu panowała martwa cisza. Na zewnątrz też wiało pustką - nikt nie ośmielał się wyjść na ulicę.

Zaciągnęła zasłony. Starła się nie słyszeć głuchego echa swoich kroków. W sypialni wyrzała przez okno, by po raz ostatni spojrzeć na dolinę. Coś przykuło jej uwagę. Przetarła oczy i wyteżyła wzrok - czy jej się przywidziało?

W oddali wylaniał się z mgły jakiś cień. Nie, na pewno się nie myliła. Ktoś usiłował wdrapać się stromą ścieżką wiodącą do Montedoro! Przecież to szaleństwo w taką pogodę!

Angie wyteżyła wzrok, ale po chwili postać rozmyła się w ciemnościach.

- Nawet nie ma latarki - szepnęła. - Jakiś idiota! Wreszcie ktoś jej potrzebował. Ta myśl przyniosła jej ulgę. Wciągnęła spodnie, kozaki i kurtkę, złapała latarkę i wybiegła z domu.

Z trudem utrzymywała równowagę na stromym zboczu, posuwała się więc w ślimaczym tempie. W końcu dotarła do bramy w kamiennym murze okalającym miasteczko.

Oświetliła drogę prowadzącą do miasta, nikogo jednak nie było. Zaczęła schodzić ścieżką, zataczając latarką kręgi i nawołując. Choć krzyczała z całych sił, jej głos ginął w jękach wiatru. Nikt nie odpowiadał. Pomyślała, że może wędrowiec upadł.

Jej niepokój rósł, w miarę jak schodziła coraz niżej. Wreszcie zobaczyła jakąś postać przycupniętą przy drodze. Podeszła bliżej.

- Czy coś się panu stało? - Angie prawie zaniemówiła ze zdumienia. - Bernardo!

Był nie mniej zaskoczony od niej.

- Co ty tu robisz? - wymamrotał przez zmarznięte wargi.

- Zobaczyłam cię z okna. Skąd się tu wziąłeś? Gdzie twój samochód?

- Musiałem go zostawić po drodze. Nie mogłem prowadzić w takiej mgle. Mam latarkę, ale wysiadły baterie. - Mówił z trudem, jakby płuca odmawiały mu posłuszeństwa.

- Coś ci się stało? - zapytała Angie z niepokojem.

- Zwichnąłem nogę w kostce.

- Obejmij mnie za szyję.

- Dam sobie radę...

- Obejmij mnie - przerwała mu stanowczo. - Muszę doprowadzić cię do domu, zanim zamarznie na śmierć.

Nie był chyba zachwycony, ale usłuchał. Wstał z trudem, wspierając się na Angie.

Powoli zaczęli wspinać się do Montedoro. W głowie dziewczyny kłębiły się pytania: Jak długo Bernardo szedł na piechotę? Jak się tu znalazł? Pozostawiła je na później. Czowała, że Bernardo idzie ostatkiem sił.

Wreszcie po mozolnej wędrówce znaleźli się przed jej domem. Jednak kiedy Angie otwierała drzwi, Bernardo odezwał się stanowczo:

- Pójdę do siebie.

- Będiesz robił to, co każe ci lekarz - odparła surowo. - Muszę przyjrzeć się tej kostce. Wolę to zrobić w swoim gabinecie.

Nie próbował więcej dyskutować. Jednak Angie wcale nie zaprowadziła go do gabinetu, lecz do salonu. Pomogła mu zdjąć kurtkę i posadziła go na sofie. Następnie wyszła do kuchni i po chwili wróciła z kieliszkiem.

- Brandy - wyjaśniła. - Musisz się rozgrzać. Pij.

Przyniosła też gruby szlafrok.

- Twoje ubrania są całkiem przemoczone. Przebierz się w to - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - No już, nie będę patrzeć. Przyniosę ci jeszcze brandy.

Kiedy wróciła, był już przebrany. Angie zaczęła oglądać jego stopę.

- Masz lodowate nogi! - wykrzyknęła. - Jak długo szedłeś?

- Dokładnie nie wiem, ale długo. Po szczegółowych oględzinach okazało się, że na szczęście kostka nie jest ani złamana, ani nawet zwichnięta, tylko skręcona.

- Kiedy to się stało? - spytała Angie.

- Prawie od razu.

- Zbyt długo ją przeciążałeś. Co w ciebie wstąpiło? Dlaczego nie zawróciłeś? Nie mogłeś zadzwonić do kogoś z komórki, żeby po ciebie przyjechał?

- Chciałem wrócić do Montedoro - odpowiedział Bernardo z irytacją w głosie. - Nie wiem dlaczego. Przestań się czepiać!

- Siniaki na twarzy, rozcięte czoło - nie dawała za wygraną Angie. - Jak to się stało?

- Upadłem na stromym odcinku drogi. Pod śniegiem był lód. Zjechałem kilka metrów. Czepiałem się kamieni.

Pokazał jej poranione dłonie. Po dokładnych oględzinach Angie z ulgą stwierdziła, że nic sobie nie złamał. Opatrzyła zranienia. Zauważyła, że oczy same mu się zamykają - wyczerpanie dawało o sobie znać.

Cicho poszła do kuchni i zajęła się przygotowywaniem kolacji. Co chwila zaglądała do salonu, by rzucić okiem na uspiętego Bernarda. Już od dawna nie było jej tak lekko na sercu. Bernardo nigdy by się do tego nie przyznał, ale czowała, że podjął ten wysiłek dla niej.

Kiedy dotknęła jego ramienia, drgnął przestraszony.

- Gorąca zupa - powiedziała.

- Powinienem iść do domu. - Przetarł oczy.

- Najpierw zupa - odparła stanowczo i podała mu talerz i łyżkę.

Właśnie skończył, kiedy w kuchni zadzwonił telefon. Angie usłyszała zmartwiony głos Baptisty:

- Nie wiesz, czy Bernardo wrócił do domu? Uparł się, mimo gwałtownego załamania pogody.

- Jest tutaj od godziny - odparła Angie.

- Od godziny? Ależ wyjechał z samego rana.

- Spory kawałek szedł na piechotę.

- Więc ma szczęście, że żyje. Nie można było wybić mu z głowy tego pomysłu. Dzięki Bogu, jest w dobrych rękach. Mogę przestać się martwić. Do widzenia, kochanie. Oby ten rok był dla ciebie szczęśliwy.

- Do zobaczenia, Baptisto... Dziękuję. Uśmiechając się do siebie, Angie weszła do salonu. Bernardo spał jak suseł. Delikatnie okryła go kocem.

Poszła spać, ale drzwi między sypialnią a salonem zostawiła otwarte. W ciemnościach słyszała jego miarowy oddech.

Nagle coś ją obudziło. Wokół wciąż panowały nieprzeniknione ciemności. Usłyszała jakiś stłumiony dźwięk - ktoś szurał stopami, mamrocząc pod nosem. Angie zerwała się. Właśnie miała zapalić światło, kiedy nagle poczuła obejmujące ją ramiona. Bernardo oparł się o nią całym ciężarem. Angie instynktownie też go objęła.

- Skąd się wzięłaś u mnie? - wymamrotał Bernardo. - O Boże, moja głowa!

- To pewnie przez brandy - wyszeptała Angie.

- Nigdy nie piję brandy.

- Piłeś dziś w nocy.

- Gdzie jest moje łóżko? Nie mogę znaleźć sypialni.

- Chodź, zaprowadzę cię.

Powoli, krok po kroku, dotarli do sypialni. Na wpół świadomy Bernardo poddawał się Angie. Wsparci o siebie dobrnęli do łóżka. Angie delikatnie posadziła Bernarda na pościeli i okryła go kołdrą. Niemal natychmiast zapadł w głęboki sen.

Angie ostrożnie wsunęła się obok. Marzyła, by go dotknąć, lecz nie śmiała poddać się pokusie.

Obudził ją jakiś ciężar na piersi. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że to głowa

Bernarda.

Zdała sobie sprawę, że Bernardo nie ma już na sobie szlafroka. Prawdopodobnie wysunął się z niego podczas snu.

Odważyła się musnąć jego sprężyste włosy. Natychmiast cofnęła rękę, ale po chwili znów delikatnie dotknęła jego czupryny, ciesząc się tym dotykiem.

Tak za nim tęskniła. Lecz od kiedy wróciła na Sycylię, życie obok Bernarda stało się nie do zniesienia.

Pozornie wszystko było w porządku. Wbrew ostrzeżeniom Bernarda, Angie odniosła bezsporny sukces jako lekarz, choć ciągle jeszcze musiała przełamywać jakieś uprzedzenia. Ludzie widzieli, jak skutecznie ich leczy i jaka jest oddana. Nawet Bernardo musiał przyznać, że Angie wzbudza ogólny szacunek.

Nie mniejszą satysfakcję sprawiała jej też świadomość, że go zaskoczyła. Udowodniła, że nie miał racji. Dała mu niezłą lekcję! I dobrze mu tak!

Jednak w kwestii podstawowej nic się nie zmieniło. Pod maską uprzejmości i uśmiechów wcale nie byli sobie bliżsi. Tylko jej coraz trudniej było to znosić.

Zrozumiałaby, gdyby to rzeczywiście duma nie pozwalała mu przyjąć pieniędzy od kobiety. Lecz jego odraza miała swe źródło gdzieś głęboko w duszy, do której bronił jej dostępu.

Ta odrobina intymności teraz musi jej wystarczyć - w tej chwili Bernardo należy do niej. Westchnął lekko i wtulił się w nią jeszcze mocniej. Śmielej pogłaskała go po włosach.

Poruszył ustami. Wstrzymała oddech. Musi przestać, zanim on się obudzi. Ale... Jeszcze chwilę...

Cos' wyszeptał, lecz tak cicho, że ledwo usłyszała - „Angie”? Długo jeszcze nasłuchiwała, lecz nie powtórzył. Nigdy więc nie dowie się, czy Bernardo wyszeptał jej imię.

Zalała ją fala gniewu. Nie! Nie podda się! Bernardo należy do niej, nie pozwoli mu odejść.

Znów coś szepnął. Poczowała gorąco jego oddechu. - Tak, kochanie - wyszeptała, tuląc go czule. - Zwycięzimy, słyszysz? Cokolwiek przyjdzie mi uczynić, zwycięzimy!

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W końcu Bernardo rozluźnił uścisk i Angie mogła delikatnie wysunąć się z jego objęć. Nie obudził się. Narzuciła na siebie lekki szlafroczek i poszła do kuchni.

Po półmroku panującym w sypialni światło dnia oślepiło ją. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że spali do późna - właśnie wybiła dziesiąta.

Cichy szelest kroków Angie obudził Bernarda. Chwilę leżał nieruchomo. To nie była jego sypialnia ani jego łóżko! Nie czuł się też do końca sobą. Nie wiedział, jak znalazł się w tym miejscu, które otulało go poczuciem komfortu i ciepła. Wiedział tylko, że chce tu zostać.

Po chwili, kiedy jego wzrok przyzwyczył się do ciemności, uświadomił sobie, że druga strona łóżka emanuje ciepłem i jakimś słodkim zapachem. W poduszce obok zauważył wgłębienie i... włos. Długi, skręcony - słowem: kobiecy.

W jednej chwili oprzytomniał. Przypomniawszy sobie, że pchany jakąś wewnętrzną siłą wracał do Montedoro - musiał czuwać nad Angie. To ona go uratowała, opatrzyła i nakarmiła. Potem zasnął na sofie. Pamiętał to wszystko dokładnie.

Ale jak znalazł się w jej łóżku? Nagi...

I co było potem?

Starał się zebrać myśli - na próżno. Wspomnienia stapały się z marzeniami.

Usiadł na łóżku. Gdy usłyszał kroki, szczelnie okrył się kołdrą.

Angie pojawiła się z kawą na tacy. Uśmiechnęła się, widząc, że już nie śpi. Próbował odgadnąć jej oczekiwania. Lecz jej oczy, chociaż przyjazne, pozostały zagadkowe.

- Wróciłeś już do żywych? - spytała wesoło. Co to pytanie miało znaczyć?

- Rozgrzałem się - odparł ostrożnie.

- To dobrze. Już się trochę bałam. Z której strony chcesz kawę?

- Słucham?

- Siedzisz na środku łóżka. Podać ci kawę z tej czy z tamtej strony?

- Może być z tej. - Wskazał stronę bliżej drzwi i sam się przysunął.

Angie usiadła na brzegu łóżka.

- Byłeś prawie zamarznęty, kiedy cię znalazłam. - Podała mu kawę.

- Dziękuję za pomoc, *dottore*.

- *Dottore!* - zapytała, rozbawiona. Jakimi słowami zwracał się do niej wczoraj, że tak ją to teraz rozbawiło? Miał niejasne przeczucie, że nie nazywał jej *dottore*.

- Nie przypuszczałam nawet, że mi kiedyś podziękujesz. - Potrząsnęła czuprynką.

Uśmiechnęła się i znacząco spojrzała mu w oczy. Bernardo podciągnął kołdrę.

- Nigdy nie wiadomo, co w życiu się przytrafi, prawda?
- Tak - zgodził się, nie odrywając od niej wzroku. - Życie jest pełne niespodzianek.
- Pewnych rzeczy człowiek nigdy by się nie spodziewał, a tu taki traf...

A więc to prawda! Angie leżała tej nocy w jego ramionach, może oddała mu się bez reszty, szeptała jego imię... A on nawet tego nie pamięta!

Z kolei Angie próbowała zebrać myśli. Nie mogła powstrzymać się od ciągłego wpatrywania się w jego nagą klatkę piersiową. Wciąż jeszcze czuła jego głowę na piersi, ciepły oddech. .. Czy on cokolwiek pamiętał? Może tego żałował? O jakich niespodziankach mówił?

Bacznie spoglądała mu w oczy, lecz te pozostały absolutnie nieprzeniknione.

- Czy mogłabyś na chwilę wyjść? - odezwał się Bernardo. - Pora wstawać.
- O nie. Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz w łóżku. Wczoraj o mało nie zamarłeś na śmierć. Już ja się tobą zajmę. W końcu jestem twoim lekarzem.

Bernardo zamyślił się na moment.

- Czy ja uderzyłem się w głowę? - zapytał ni stąd ni zowąd.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Mam luki w pamięci. Pamiętam, że zasnąłem na sofie... Ale jakim cudem znalazłem się w twoim łóżku? I to całkiem nagi? - dokończył w myślach.

- W nocy zacząłeś krążyć w półśnie po mieszkaniu. Pewnie myślałeś, że jesteś u siebie. Pomyślałam, że w sypialni będzie ci wygodniej.

- I... To wszystko?
- Wszystko. Może tylko mu się wydawało, ale Angie chyba westchnęła.

A może to on westchnął z żalem?

- No, pora na śniadanie - odezwała się Angie. - Angielskie: jajka na bekonie, kiełbaska, pomidory, tosty. Podane do łóżka.

Kiedy wróciła z tacą, on już zdążył ubrać się w szlafrok i podciągnąć kołdrę pod nos. Miał zamiar z godnością usiąść przy stole, ale zmienił zdanie. Tak dobrze było pod opieką Angie.

Angie wyglądała ślicznie z twarzą zarumienioną od ognia i z tą niesformą czupryną. Jak lekarz może mieć takie włosy?

- Bernardo - powtórzyła cierpliwie Angie.
- Co? - zapytał, wracając gwałtownie do rzeczywistości.
- Wyprostuj nogi. Nie mogę postawić tacy.
- Przepraszam. A ty nic nie jesz? - spytał.



- Już przynoszę. Wróciła z wielkim kubkiem i usiadła na brzegu łóżka. Był to dziecinny kubek, w jakieś pieski i serduszka. Zresztą ona sama wyglądała teraz jak mała dziewczynka.

- To wszystko?

- Angielska herbata. Postawi mnie na nogi.

- Ja też to dostałem? - zapytał niepewnie.

- Nie, ty masz kawę.

- Daj spróbować. - Wypił łyk i omal się nie udławił. - Wielkie nieba! - zawołał, czym prędzej popijając kawę.

Wybuchnęli śmiechem.

- Jak tam przyjęcie urodzinowe? - spytała Angie.

- Było wspaniale. Renato pogodził się wreszcie z Lorenzem - opowiadał Bernardo, jedząc z apetytem. - Wzniósł toast na cześć brata i powiedział, że to jemu zawdzięcza swoje szczęście. Przyznał, że wszyscy mieli wątpliwości, co do związku Lorenza z Heather i tylko sam Lorenzo miał odwagę spojrzeć prawdzie w oczy.

- Fakt - zamyśliła się Angie.

- Tak. - Bernardo uśmiechnął się ironicznie. - Gdyby Lorenzo nie miał odwagi stchórzyć przed ślubem, Renato i Heather nie byłiby teraz tak szczęśliwi.

- Myślisz, że są, naprawdę?

- Są zakochani. To przeznaczenie, a Renato omal wszystkiego nie zepsuł, pchając Heather w ramiona brata.

- Po co to robił?

- Bo dobrze mu było samemu, a ktoś musiał się ożenić i dostarczyć dziedzica rodowi Martellich. Więc wyznaczył rolę kozła ofiarnego Lorenzowi. Powinnaś zobaczyć Renata - szczęśliwego małżonka i ojca rodu... - Bernardo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie, niemożliwe! - zawołała podekscytowana Angie. - Heather spodziewa się...

- Jeszcze nikomu nie powiedzieli, ale Baptista jest pewna. Mówi, że ma przecucie.

- To cudownie - westchnęła Angie z nutą tęsknoty w głosie. - Dziecko. Będą prawdziwą rodziną.

- Rodzina jest najważniejsza - przytaknął Bernardo. - Dlatego Baptista tak lubi, kiedy wszyscy zbierają się na jej urodziny.

- Mów dalej. Podobał się jej prezent ode mnie?

- Była uszczęśliwiona. Dom tonął w kwiatach. Okazało się, że właściciel ciepłarni to jakiś przyjaciel Baptisty z młodości. Chyba ma na imię Federico. Baptista bardzo się

wzruszyła na jego widok.

- Oj, jak się cieszę. Uwielbiam Baptiste - szczerze wyznała Angie.

Bernardo zamilkł. Po chwili odezwał się, nie patrząc na nią:

- Ja też. - Spojrzał jej w oczy. - Szkoda, że cię nie było.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam być z wami. Oczywiście, tu nikt nawet nie zaciął się w palec - zaśmiała się z goryczą.

- Ale z pogodą miałaś rację - przyznał Bernardo.

- Czemu wróciłeś? - spytała nagle. „Niemądre pytanie. Przecież wiesz” - mówiły jego oczy.

- Pewnie powinienem być rozsądniejszy... - powiedział głośno.

- Zawsze musisz być rozsądny? - zapytała z nutką żalu w głosie.

- Wcale nie jestem... Angie.

Poruszył się gwałtownie, omal nie zrzucając tacy. Złapał ją w ostatniej chwili. Angie pośpiesznie wyniosła ją do kuchni.

Bernardo oparł się o poduszki. Nagle poczuł się niewymownie szczęśliwy. Było to dziwne uczucie. Nie zaznał go chyba nigdy, a przynajmniej nie w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Teraz, po długim śnie i wybornym śniadaniu, powinien rzeško wyskoczyć z łóżka. Zamiast tego ogarnęła go dziwna ocieężałość. Pragnął zostać tu na zawsze, pod opieką Angie. Nikt nigdy nie powiedział: „Zostań, ja się tobą zaopiekuję”. Nawet gdyby, on odrzuciłby taką propozycję.

A to takie proste! Jedyne, co musiał zrobić, to poddać się, zaufać ukochanej osobie. Wtulił się w poduszki, upojony słodkim ciepłem i ogarniającą go błogością.

Angie postawiła tacę w kuchni i pośpiesznie wróciła do sypialni. Jej serce skakało z radości. Nareszcie! Udało się! Teraz Bernardo weźmie ją w ramiona...

Otworzyła drzwi.

Śpi. Ależ to po prostu niemożliwe. Przecież dopiero niedawno się obudził.

Jej wzburzenie minęło natychmiast, kiedy podeszła na palcach i spojrzała z bliska na jego twarz, radosną i spokojną - jak buzia dziecka. Bernardo wyglądał, jakby był szczęśliwy - to też dla Angie coś zupełnie nowego.

Ogarnęła ją czułość. Przysiadła na brzegu łóżka i delikatnie pogłaskała go po głowie. Poruszył się, lecz się nie przebudził. Spał mocno, jakby chciał odespać wszystkie nie przespane ze zgryzoty noce.

Może tego potrzeba mu najbardziej, pomyślała Angie, cichutko wychodząc z pokoju.

Spał do późnego wieczoru. Angie wielokrotnie zaglądała do sypialni i wsłuchiwała się

w jego równy oddech. Wiedziała, że dobroczynny sen przynosi umęczonej duszy Bernarda ulgę i zdrowie, a jej czas jeszcze nadejdzie.

Wieczorem wzięła prysznic, cichutko weszła do sypialni i otworzyła jedną okiennicę, by przed nocą spojrzeć na góry. Jasna poświata księżycowa roziskrzyła śnieg i skapała sypialnię w srebrze. Bernardo poruszył się. W jednej chwili Angie była przy nim i pieszczotliwie dotknęła jego twarzy. Otworzył oczy i spojrzał na nią tak, że serce zabiło jej szybciej.

- Cały czas tu byłaś? - wyszeptał. Pokręciła głową.

- Nie, jestem od kilku minut.

- Czułem twoją obecność.

- Moje serce tu było... *amor mio*. Objął ją i mocno przytulił, a ona z czułością oddawała jego uściski.

- O niczym innym nie marzyłem...

- Ja... Zamknął jej usta pocałunkiem. Zerwał z niej ręcznik. Ich nagie ciała zwały się w uścisku. Z rozkoszą dotykała umięśnionych ramion, silnych pleców. Bernardo całował jej oczy, usta, piersi. Angie jęknęła z rozkoszy.

- Jesteś taka piękna - wymruczał, patrząc na nią w świetle księżyca. - Tyle razy wyobrażałem sobie ciebie nagą, ale ani przez chwilę nie byłem bliski prawdy.

- Nawet w czerwonej flaneli? - zaśmiała się. Wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Śmiali się przez chwilę głośno i radośnie, tuląc się do siebie.

- Ty łobuzie! Specjalnie mnie wtedy torturowałaś! - zawołał Bernardo.

- Tak - przyznała Angie filuternie. - I co mi zrobisz?

- To - odparł, całując ją. - I to...

Jego pieszczoty stawały się coraz bardziej gwałtowne, namiętne...

Pierwsze zbliżenie miłosne Angie i Bernarda było doskonałe. Może dlatego, że już tyle razy kochali się w wyobraźni? Angie widziała jaśniejącą szczęściem twarz Bernarda, rysującą się w świetle księżyca. On, tak niezdamny w kontaktach z ludźmi, potrafił być niezwykle subtelny wobec ukochanej kobiety. Angie oddawała mu się z całkowitym zaufaniem, z rozpierającą radością.

Później wtuliła się w niego. I oto nowa niespodzianka - po raz pierwszy w życiu poczuła zazdrość o swego kochanka! Z pewnością Bernardo nie po raz pierwszy tak kochał kobietę! Nic nie wiedziała o jego poprzednich miłościach, namiętnościach, tęsknotach. Nagle zaczęło to mieć znaczenie.

- O czym tak dumasz? - zapytał.

- Nie spodobałyby ci się moje myśli - odparła ponuro. - Są zaborcze i zazdrosne.

Roześmiał się swoim nowym śmiechem - radosnym i beztroskim.

- Mylisz się, takie myśli bardzo mi się podobają.

- Naprawdę?

- Tak. - Spoważniał. - Dobrze jest wiedzieć, że nie tylko ja jestem o ciebie zazdrosny.

Ale ty nie masz powodu, *amor mia*. Przeszłość nie ma żadnego znaczenia. Jesteś tylko ty.

- Przeszłość nie ma znaczenia? - powtórzyła za nim powoli.

- W mojej przyszłości będziesz tylko ty. Chodź tu. Udowodnię ci to.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Angie obudziła się o świcie, wciąż rozgrzana ciepłem i czułością Bernarda. Lecz kiedy wyciągnęła rękę, jego miejsce było puste. Bernardo siedział przy oknie, zapatrzony w dolinę, która powoli wylaniała się spod pierzyny mgieł. Angie narzuciła szlafrok i podeszła do niego.

- Co tam widzisz? - szepnęła. Jego odpowiedź zaskoczyła ją.

- Duchy.

- Dużo?

- Zbyt dużo.

- Rodzice?

- Tak, ale nie tylko... Jest tam ktoś, kto mnie prześladowuje, znęca się nade mną. - Zadrżał.

- Wróćmy do łóżka, kochanie - powiedziała, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że nie z zimna drżał. Chciała odciągnąć go od okna i tych jego strasznych wizji.

Pozwolił jej się prowadzić. W łóżku przywarli do siebie. Angie poczuła ulgę i coś jakby triumf - oto przezwyciężyła wszelkie trudności. Teraz już wszystko musi się dobrze ułożyć. W uścisku Bernarda wyczuwała, jak bardzo ją kocha i jak jej potrzebuje. Przytuliła go jeszcze mocniej, gestem zapewnienia, że oto znalazł to, czego tak pragnął. Znowu długo się kochali.

Potem Bernardo oparł się o wezglowie łóżka, przyciągnąwszy ją do siebie. Ale Angie czuła, że jego myśli poszybowały gdzieś daleko, że znowu nie ma w nich dla niej miejsca. Za bardzo była w nim zakochana, by pozwolić na to bez protestu.

- Hej! - Potrząsnęła nim delikatnie. Natychmiast się uśmiechnął. Miał jednak taki wyraz twarzy, jakby powrócił z za światów.

- O czym myślisz? - spytała.

- O niczym ważnym.

- Skoro to nic ważnego, to czemu marszczysz czoło? Powiedz, proszę.

Milczał, więc ponowiła próbę.

- Czy wciąż są między nami te duchy?

- One są zawsze i wszędzie.

- Nawet teraz?

- Teraz szczególnie. Krzyczą, że nie mam prawa do szczęścia.

- Dlaczego? Nie odpowiedział i nagle Angie przeraziła się. Już myślała, że uporali się ze wszystkimi problemami, aż tu nagle stanęła przed czymś niepojętym, czego w dodatku on

nie chce jej wytłumaczyć.

- Wyjaśnij mi - poprosiła jeszcze raz.

- Nie potrafię. Sięgnęła po argument stary jak świat:

- Więc mnie nie kochasz. Gdybyś mnie kochał... Zobaczyła, jak uśmiech szczęścia na jego twarzy zastępuje rozpacz.

- Angie, nie rób tego! Błagam.

- Dlaczego nie? Tak długo odsuwałeś się ode mnie! Mam tego dość! Ciągłe są jakieś nowe problemy! - krzyczała. - Masz mi powiedzieć, co cię tak martwi - zażądała.

Milczał. Zrozumiała, że ich wspólne szczęście to być może nieziszczalne marzenie. Ale dlaczego?

\_ Gdzie byłeś przez całą tę noc?! - krzyknęła, nie bacząc już na nic. - Myślałam, że kochaliśmy się...

\_ Bo tak było.

\_ Nie, myślamy byłeś gdzie indziej! Ze swoimi duchami!

Drgnął.

\_ Na miłość boską! Żadna kobieta nie znaczyła dla mnie tyle, co ty! Dlaczego to ci nie wystarczy?

Słowa te odczuła jak cios - Bernardo nigdy nie otworzy się przed nią. Odsunęła się od niego, pełna niechęci. A więc ona też zamknie się w sobie.

\_ Co ma mi wystarczyć? - spytała, siląc się na spokój. - Kochamy się ze sobą, ale ja wciąż czuję, że jestem dla ciebie nikim, skoro ukrywasz się przede mną.

Roztargnionym gestem przeczesał palcami włosy.

\_ Jeśli mnie nie potrzebujesz...

\_ Potrzebuję cię, ale nie chcę, żebyś była moim lekarzem. Chcę, żebyś mnie kochała!

\_ Kocham cię przecież!

- Oczywiście. Ale wszystko ma być na twoich warunkach. Musisz czuć, że władasz moją duszą, nie tylko sercem. Miałem rację, kiedy przeczuwałem, że z tobą trzeba być ostrożnym.

Zapadła cisza. Angie czuła się tak, jakby konała z bólu.

- Nie patrz tak na mnie! - jęknął Bernardo.

- Już nie wiem, jak na ciebie patrzeć - odparła z rozpaczą. - Już nic nie rozumiem.

Może dzisiejsza noc nie powinna się przytrafić.

Zbladł.

- Naprawdę tak uważasz?

- Nie wiem. Nagle ujął jej twarz w dłonie.

- Nie rób tego, najmilsza - błagał. - Nie pozwól, żeby coś stało między nami. To wszystko nic nie znaczy... nic...

- Właśnie, że znaczy! To coś ma nad tobą władzę, kieruje twoimi myślami. Nie mam pojęcia, skąd to wiem. Ale jestem tego pewna.

- Więc musisz być czarownicą, skoro wiesz aż tak wiele.

- Wiele? - powtórzyła gorzko. - Nic nie wiem, bo nie chcesz mi nic powiedzieć. Mówisz mi o miłości na moich warunkach. A jakie są twoje? Chcesz mi dać kawałek siebie i ani trochę więcej. To nie jest miłość.

- Kochanie, błagam cię...

- Bernardo, powiedz mi o tym! Wyduś to z siebie. Kto jest tym trzecim duchem?

Westchnął ciężko, jakby się poddawał. Po długiej chwili milczenia odezwał się:

- Trzecim duchem jest dwunastoletni chłopiec. Mieszka sam z matką. Jego ojciec odwiedza ich od czasu do czasu, ale nie jest mężem matki. Ma żonę, dzieci i wielki dom nad morzem. To jego prawdziwa rodzina, która nosi jego nazwisko. Chłopiec natomiast ma nazwisko po matce i w głębi serca wstydzi się tego. Tak naprawdę wstydzi się też tego wstydu, bo jego matka jest dobra i kocha go. Matka boi się nienawiści legalnej żony ojca - przecież skradła serce jej męża. Chłopiec stara się być dobrym synem, lecz w tajemnicy marzy, by odwiedzić dom ojca i poznać jego drugą rodzinę. Pewnego dnia wymyka się z domu i idzie górami w stronę miasta. Nikt o tym nie wie. Chłopiec wędruje wiele godzin. Ściemnia się, a przed nim wciąż jeszcze daleka droga. W końcu postanawia zawrócić. Kiedy wreszcie dociera do domu, w środku jest ciemno i pusto. Czeka na matkę wiele godzin, lecz na próżno. Wtedy ktoś przychodzi i mówi mu, że jego rodzice nie żyją. Ojciec przyszedł tego dnia odwiedzić matkę. Zaniepokoiła ich długa nieobecność chłopca i wyruszyli samochodem na poszukiwania. Mieli wypadek w górach. Zginęli na miejscu.

- O Boże! - jęknęła Angie. Ale Bernardo chyba nie usłyszał. Całkowicie był pochłonięty koszmarem, który prześladował go całe życie.

- Chłopiec nigdy nie przyznał się, po co wtedy wyszedł z domu. Ale w głębi serca wiedział, że to on spowodował śmierć rodziców. Był też nielojalny wobec własnej matki. Po kilku dniach przyszła do niego żona ojca. Matka obawiała się nienawiści tej kobiety, a ona powiedziała, że odtąd chłopiec ma mieszkać z rodziną ojca i ma przyjąć jego nazwisko, jak pozostali synowie. W ten sposób uzyskał to, czego tak pragnął. Tylko że za cenę życia dwojga ludzi. Powinien uczciwie powiedzieć tej kobiecie, że to on zabił jej męża. Może odwróciłyby się od niego, może kazałyby odesłać go do domu wariatów, jak na to zasłużył.

Nie zrobił tego. Był tchórzem, rozumiesz?!

- Nieprawda! - zawołała Angie z przejęciem. - Był niedojrzałym dzieckiem.

- Ale teraz już nie jest dzieckiem. Cały czas milczał, bo przez to, że wtedy nie wyjawiał prawdy, już nigdy nie mógł jej wyjawić. A więc wszelkie odruchy serdeczności ze strony tej kobiety przyjmował podejrzliwie, wciąż zastanawiając się, jak bardzo ona go nienawidzi...

- To niesprawiedliwe wobec Baptisty - gorączkowo wtrąciła Angie. - Ona wcale nie czuje do ciebie nienawiści.

- Może i nie. Ale co by powiedziała, gdyby знаła prawdę?

- Tego nie wiem. Ale z pewnością nie obwiniłaby dwunastoletniego dziecka..

- Wcale nie czułem się dzieckiem. Chciałem być mężczyzną. Za każdym razem, kiedy mój ojciec wychodził, powtarzał mi: „Pamiętaj, opiekuj się matką. To obowiązek każdego mężczyzny”. - Bernardo zadrżał. - Mój Boże...

A więc nie myliła się. To te wspomnienia miały go w swej mocy. Teraz jednak, skoro jej zaufał i wszystko wyznał, razem staną przeciwko nim i pokonają je. Objęła drżącego Bernarda i czule wyszeptwała:

- Teraz wszystko będzie dobrze, najdroższy. Przytul się. Razem to naprawimy.

- Tego nie da się naprawić - jęknął.

- Da się. Przecież się kochamy. Przemawiając tak do niego, głaskała go kojąco, tuliła do siebie, aż poczuła, że jej ulega, rozluźnia się, z wolna poddaje pożądaniu.

Tym razem kochał ją inaczej - bardziej namiętnie, gorączkowo. Jakby czegoś od niej żądał. Cieszyło ją jego pożądanie. Tej nocy czuła się silna, triumfowała. Kiedy potem patrzyła w jego ufną twarz, bez śladu niedawnego strachu, łatwo jej było uwierzyć, że wszystko już pokonali.

Obudziła ją krzątająca Ginetty w kuchni. Sypialnię zalewało światło i Angie pomyślała, że słońce musi stać już wysoko. Na ogół wstawała dość wcześnie, lecz ta noc była tak pełna wrażeń! Musiała ją odespać.

Druga strona łóżka była pusta - zauważyła z rozczarowaniem. Po chwili jednak uśmiechnęła się do siebie. Z pewnością poczucie przyzwoitości kazało Bernardowi opuścić dom Angie, nim przyszła Ginetta.

Nic nie szkodzi, pomyślała beztrąsko. Już wkrótce obwieszczą swoje szczęście światu. Przekonała się, że Bernardo kocha ją tak mocno, jak ona jego. Przecież Baptista powiedziała: „Kiedy Bernardo sam powierzy ci swe tajemnice, będziesz wiedziała, że prawdziwie cię kocha”. I dziś w nocy jej zaufał. Teraz Angie pomoże mu uporać się z przeszłością. Być może uda się jej przekonać go, że poczucie winy dziecka nie ma prawa prześladować mężczyzny -



że pora zamknąć przeszłość na klucz.

Przeciągnęła się rozkosznie. Czowała każdy mięsień, każdą tkankę swojego ciała, jakby narodziła się na nowo. Jak dobrze kochać i być kochaną!

Zerknęła na poduszkę, czy Bernardo nie zostawił jej jakiegoś liściku. Nie, to do niego niepodobne. On jest wcieleniem prostoty. Wszelkie ozdobniki są obce jego naturze.

Żwawo wyskoczyła z łóżka, wzięła szybki prysznic i sprężystym krokiem weszła do kuchni.

Dopiero po chwili zauważyła opartą o czajnik karteczkę.

*Kochana Angie!*

*Zbliżyłem się do Ciebie bardziej niż do kogokolwiek innego w całym swoim życiu. Być może za bardzo. Nie zasłużyłem na miłość. Nie potrafią nic ofiarować, zadają tylko ból.*

*Zrób to dla nas obojga i lepiej wróć do Anglii.*

*Bernardo*

Czytała kartkę kilka razy, zanim dotarła do niej treść tych słów. Czowała się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Brutalna prostota tych zdań była niepojęta. Mężczyzna, który z taką miłością kochał się z nią jeszcze tej nocy, uciekł od niej o świcie, jakby miała trąd!

Dopiero po chwili stanęła jej przed oczyma zdesperowana, zboląła twarz Bernarda, kiedy błagał ją, by nie zmuszała go do zwierzeń.

- To moja wina - szepnęła do siebie. - Zmusiłam go do tego wyznania. Jeszcze nie był na to gotowy. Dał mi swoją miłość, ja jednak chciałam więcej. Teraz wszystko przepadło! Jak mogłam być aż tak głupia? Muszę coś z tym zrobić!

Narzuciła na siebie kurtkę i wybiegła na ulicę. Potykając się i ślizgając, dotarła wreszcie do domu Bernarda.

- Bernardo! - zawołała głośno, uderzając w drzwi.

Otworzyły się natychmiast i na progu stanęła Stella. Jej twarz była mokra od łez.

- Wyszedł. Godzinę temu. - Spojrzała na Angie ze współczuciem.

- Nie mówił, dokąd idzie?

- Nie, ani kiedy wróci.

- Poczekaj. - Angie próbowała wziąć się w garść i nie dać się ponieść histerii. - Przecież z Montedoro nie da się wyjechać po tej burzy śnieżnej.

- Coś wspominał o samochodzie - smutno odparła Stella. Angie ruszyła przetartym już szlakiem do bramy miasta.

Kiedy zesza niżej, rozpoznała ślady, wpierw pojedyncze, a potem podwójne - tam gdzie razem z Bernardem wspinali się do miasta.

Wtem spostrzegła inne ślady. Zmrużyła oczy i wyteżyła wzrok. Może w którymś miejscu ślady zawrócą w górę? Nie. Prowadziły w dół i znikwały daleko, we wciąż jeszcze nisko ścielącej się mgle.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Radosna wiadomość o ciąży Heather dotarła wkrótce do wszystkich członków rodziny Martellich. Kiedy drogi stały się przejezdne, Angie wybrała się do Palermo, gdzie została przyjęta z otwartymi ramionami przez Baptistę i Heather. Spędziły razem przemile popołudnie.

Na wybrzeżu wszystko było odmienne niż w górach: łagodny klimat, wiosenna, choć nieco deszczowa pogoda. Ale Angie wybrała mężczyznę z gór, gdzie klimat - jak i życie - były o wiele bardziej surowe.

Przez cały czas Angie świadoma była ciekawości Heather i Baptisty co do przebiegu ostatnich wydarzeń. Wiedziały, że Bernardo wracał w zawieję śnieżną do Montedoro ze względu na Angie. Zapewne dziwił je fakt, iż nie przyjechał teraz z nią do Palermo. W końcu Angie nie wytrzymała.

- Aż oczy wam się świecą z ciekawości - zachichotała.

- No, to powiedz wreszcie, co się stało - zażądała Heather.

- Nic takiego. Przyszedł. Zjedliśmy razem kolację. A teraz wyjechał na kilka dni. Baptisto, ciasto jest przepyszne. Mogę prosić jeszcze kawałek?

- Mam nadzieję, że przytyjesz - zakpiła Heather.

- Na pewno nie będę taka gruba jak ty - odgryzła się Angie i rozmowa wróciła na właściwe tory, czyli do spraw rodziny i do ciąży Heather.

Przyjaciółki nie zadawały więcej pytań, a Angie nie chciała wtajemniczać ich w szczegóły wydarzeń - jak to po miłosnym zbliżeniu Bernardo odszedł, prawdopodobnie na zawsze.

Długo myślała o tym, co jej powiedział - o poczuciu winy, które dręczyło go od dzieciństwa. Teraz spoglądała na Baptistę i zastanawiała się, czy rzeczywiście ta wspaniała, mądra kobieta znienawidziłaby Bernarda, gdyby poznała prawdę.

„Domyślam się, jaki sekret Bernardo kryje w sobie. Mogę się jednak mylić” - powiedziała kiedyś. Przez chwilę Angie czuła pokusę, by jej wszystko wyznać. Jednak po namyśle uznała, że nie wolno jej tego uczynić. Przecież Bernardo nie mógł znieść nawet tego, że ona - Angie - poznała prawdę.

Po jakimś czasie dołączył do nich wysoki, siwy pan. Był to Federico - stary przyjaciel Baptisty.

- Więcej niż przyjaciel - szepnęła Heather do Angie. - Dawno temu on i Baptista byli w sobie zakochani. Teraz Federico odwiedza ją codziennie. Aż miło na nich patrzeć!

Najwyraźniej dawni kochankowie znów przeżywali miłość, o czym Bernardo nie wspomniał Angie.

Czekała ją też miła niespodzianka ze strony braci Martellich. Renato się zmienił. Jego stosunek do żony był tak czuły i serdeczny, że Angie stwierdziła, iż musi go polubić.

Również zachowanie Lorenza uległo zmianie. Wciąż był tym samym wesołym uwodzicielem, lecz... czyżby stał się bardziej pewny siebie? Angie miała wrażenie, że ma to związek ze szczęściem Renata. Przecież udane małżeństwo ukochanego brata było właśnie jego - Lorenza - zasługą.

Lorenzo przywitał się serdecznie z Angie i wyszczerzył radośnie zęby do Heather, która odwzajemniła uśmiech. W domu Martellich panowała wspaniała atmosfera. I taką rodzinę Bernardo odrzucił! Jej miłości też nie chciał przyjąć. Wolał zamknąć się w swoim ponurym świecie!

Po dwóch miesiącach pobytu w Stanach Lorenzo wrócił na Sycylię, okryty sławą wielkiego biznesmena. Niemal natychmiast po powrocie do domu, w drugiej połowie kwietnia, odwiedził Angie.

- Jeśli nie masz nic przeciwko kolacji z kuchenki mikrofalowej, czuj się zaproszony.

- To brzmi zachęcająco - odparł Lorenzo, wyjmując butelkę dobrego wina.

- Ja dziękuję za wino. Nalej mi soku - poprosiła Angie, wyjmując lazanie z zamrażalnika. - Opowiadaj o Ameryce.

Lorenzo uśmiechnął się szeroko.

- O, jak jej na imię? - spytała Angie, lekko unosząc brwi.

- Nie wiem, dlaczego wy, kobiety, zawsze wyciągacie pochopne wnioski - zawołał Lorenzo. - Spędziłem tylko jakiś czas w Nowym Jorku z córką przyjaciół rodziny. Ma na imię Helen. A ja jestem ostatnim mężczyzną, za którego wyszłaby za mąż. Powiedziała mi to po pierwszych dziesięciu minutach rozmowy.

- Czyżbyś spotkał kobietę odporną na twój wdzięk?

- Można to tak ująć - odparł Lorenzo nieco urażony.

- Oj! - Angie upuściła widelec. Schyliła się gwałtownie i... nagle zakreśliło się jej w głowie.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoił się Lorenzo, podtrzymując ją. - Strasznie zbladłaś.

- Wszystko w porządku - zapewniła go Angie. - Miałam ciężki dzień.

- Siadaj, ja skończę przygotowywanie posiłku. Każdy potrafi gotować w mikrofalówce.

Kiedy już zasiedli do kolacji, Angie odezwała się:

- Jeśli miałeś nadzieję spotkać się z Bernardem, to chyba ci się to nie uda. Jeszcze nie wrócił.

- Wiem, mama mi mówiła, że wyjechał. Jak sobie radzisz?

- Nadspodziewanie dobrze.

- Bernardo nie spodziewał się tego?

- Chyba nie - zaśmiała się cierpko.

- Kiedy byliśmy mali - podjął po chwili Lorenzo - Bernardo często gdzieś znikał. Ale tobie musi być z tym ciężko. Nie po to do niego przyjechałaś.

- Nie przyjechałam tu do niego - chłodno sprostowała Angie. - Chciałam mu dać nauczkę. - Głos jej lekko zadrżał. - Chyba trochę przesadziłam.

- Nie mów tak. - Lorenzo ujął jej dłonie w swoje. - To nie twoja wina. Mój brat jest głupcem. Zresztą jak my wszyscy: Renato ciągle myśli, że wszystkich przechytrzy, ja jestem pospolitym idiotą. A w Bernardzie wszystko jest pokręcone, ciemne. Zupełnie się pogubił.

Tyle ciepła brzmiało w jego głosie! Jak dobrze byłoby mieć taką rodzinę - Lorenzo mógł przecież być jej bratem. Angie zapragnęła zwierzyć mu się i z pewnością by to zrobiła, gdyby nie rozległ się dzwonek do drzwi. Po chwili Ginetta wprowadziła do salonu młodego mężczyznę o małych, przebiegłych oczkach.

- Signor Carlo Bondini - powiedziała Angie z nutą zniecierpliwienia w głosie. - Prosiłam przecież, żeby pan więcej nie przychodził.

- Pomyślałem, że może zmieniła pani zdanie.

- Nie zmieniłam.

- Dam dziesięć milionów więcej. To doskonała oferta.

- Byłaby doskonała, gdybym chciała sprzedać praktykę. Ale nie chcę.

- Właśnie takiej praktyki szukam.

- To niech pan szuka dalej. Proszę więcej nie wracać.

- Wrócę. - W głosie Bondiniego zabrzmiała nuta groźby.

- Nie wróci pan, jeśli nie chce pan mieć do czynienia ze mną. - Lorenzo wstał. - Proszę wyjść.

- Dobrze... Na razie tak to zostawmy... - z niechęcią ustąpił Bondini, zmierzwszy wzrokiem atletyczną sylwetkę przeciwnika. - Ale niech się pani jeszcze zastanowi - dodał, kierując na Angie świdrujące oczka. - Ma pani jeszcze kilka miesięcy. - Oczka powędrowały w kierunku brzucha Angie. - Niech pani nie zapomina, że ja też jestem lekarzem - powiedział znacząco i wyszedł.

- Czy on często cię nachodzi? - zawołał Lorenzo.

- Co dwa tygodnie, z coraz lepszą ofertą.

- Ciekawe, skąd ma pieniądze...

- Tak trudno to zgadnąć? - westchnęła Angie. - Bernardo chce się mnie pozbyć.

- Bernardo? Ale dlaczego miałby to robić? I to w twoim stanie? Przepraszam - dodał pośpiesznie. - Ale chyba dobrze zrozumiałem?

- Chyba tak - słabo uśmiechnęła się Angie.

- Wszystko jasne. Teraz to już sprawa rodzinna - orzekł Lorenzo zdecydowanym tonem.

Dom stał na uboczu. Choć dawno opuszczony, został przystosowany do tymczasowego zamieszkania.

Bernardo już z daleka dostrzegł brata i z pochmurną twarzą czekał na niego w drzwiach.

- Skąd u licha wiedziałeś o tym miejscu?

- Zawsze tu się ukrywałeś. Kiedyś, gdy byliśmy jeszcze mali, wymknąłeś się z domu, a ja cię śledziłem. Nie wiedziałeś o tym.

- Gdybym wiedział, znalazłbym inną kryjówkę.

- Dlatego ci nie powiedziałem... Dziwak z ciebie. Bernardo niechętnie pozwolił bratu wejść do środka.

- Cóż w tym dziwnego, że człowiek potrzebuje trochę prywatności?

- Prywatności? Raczej kompletnej izolacji! *Maria vergine!* Jak ty możesz tu mieszkać? - zawołał Lorenzo.

- Bardzo mi tu dobrze, kiedy jestem sam.

- Słuchaj... Nie wiem, co zaszło między tobą a Angie, ale założę się, że to twoja wina. Miałaś piękną, wspaniałą kobietę, w dodatku zakochaną w tobie po uszy. Więc co zrobiłeś? Nie byłeś zadowolony, póki jej nie odtrąciłeś. Zresztą nas też odtrącałeś przez te wszystkie lata. Ale jestem twoim bratem i nie pozwolę, byś zepsuł najlepszą rzecz, jaka ci się w życiu przytrafiła!

Bernardo nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w Lorenza zbolalymi oczyma.

Lorenzo dodał nieco łagodniej:

- Nie uda ci się uciec od świata, Bernardo. Wszędzie jest pełno okrutnych ludzi... Jak na przykład Carlo Bondini.

- Skąd go znasz? - ostro zapytał Bernardo.

- Byłem u Angie, kiedy złożył jej ostatnią wizytę. On ją terroryzuje.

- Co?! - Bernardo zaklął. - Kazałem mu tylko zaproponować odkupienie praktyki. Bez

żadnych przykrości.

- Powinieneś lepiej przemyśleć swoje metody. Gdybyś zapytał mnie o radę...

- Nie potrzebuję twoich rad - wybuchnął Bernardo. - Od kiedy Renato jest ci wdzięczny, stałeś się nieznośny!

- Zawsze byłem nieznośny - lekko odparł Lorenzo. - Ale nie chodzi o mnie. Świat się zmienia. Nie jestem pewien, ale mam pewne podejrzenia... Nie jestem lekarzem...

- O czym ty mówisz?

- Mówię tylko, że jeśli masz powiększyć naszą rodzinę, czas najwyższy, żebyś sam wreszcie stał się jej członkiem.

Droga powrotna przypominała jazdę ukwieconym tunelem.

Ziemia, jakby pragnąc przypodobać się słońcu, naraz ukazała wszystkie swoje wdzięki. Bernardo silnie odczuwał, jak piękno i harmonia zapraszają go do siebie.

Nagle zobaczył na drodze jakiś tłum. Młodzi mężczyźni otaczali kobietę jadącą na mule. Patrzyli na nią drwiąco, wręcz złowrogo. Na widok Bernarda rozpierzchli się.

Nie zamierzał ich ścigać. Jedyne, co widział, to gniewne spojrzenie, jakim obdarzyła go kobieta.

- Ach, więc wróciłeś? - chłodno odezwała się Angie. - Chyba powinnam ci podziękować za przyjsście z odsieczą. Dziękuję. Ale muszę już jechać.

- Co ty tu robisz?

- Odwiedzam pacjentów.

- Sama? Zwariowałaś?

- Nigdy wcześniej nie miałam problemów.

- Więc dlaczego teraz masz? Jej twarz pozostała nieprzenikniona.

- Skąd mam wiedzieć?

- Myślę, że wiesz.

- A ja myślę, że mam jeszcze dwoje pacjentów.

- Więc przesiądź się do mojego samochodu.

- A co zrobię z mułem? Nie zmieści się w samochodzie.

- Może iść za nim. Proszę cię, wsiądź. - Wyciągnął dłoń, by ująć jej rękę, lecz Angie zmroziła go lodowatym spojrzeniem.

- Trzymaj ręce z daleka, Bernardo! Nie waż się mnie dotykać!

- Nie możesz jechać dalej sama - powtórzył z uporem.

- Więc możesz jechać za mną. Ale tak, żebyś nie musiała na mnie patrzeć.

Bernardo nie miał wyboru. Jechał wolno za Angie i obserwował, jaką wzbudzała

ciekawość. Jednak w spojrzeniach mijanych po drodze ludzi nie było cienia wcześniejszej życzliwości. Tylko wrogość...

Po wyjściu od ostatniego pacjenta Bernardo zapytał:

- Gdzie twój samochód?

- Został w domu. Na takie wyprawy zawsze jeżdżę na swoim mule.

- To nie jest niebezpieczne? Przecież widziałem, jak chłopcy cię straszili.

- Nie straszili, tylko nie byli mili.

- Musimy porozmawiać.

- Nie mamy o czym. Bernardo zacisnął zęby.

- Zjedz u mnie kolację.

- Nie, dziękuję.

- Więc ja przyjdę do ciebie.

- Nie zapraszałam cię. Do widzenia, signore. Angie zgrabnie dosiadła muła i odjechała. Bernardo zaklął pod nosem, ale nie śmiał już jechać za nią.

Jeszcze tylko dwóch pacjentów, z ulgą pomyślała Angie. Bolały ją plecy i marzyła, żeby wyciągnąć się na kanapie. Jednak kiedy wyrzała do poczekalni, zobaczyła, że ktoś jeszcze czeka. Oczy Bernarda powiedziały jej, że łatwo się go nie pozbędzie.

Ale co ma mu powiedzieć? Kiedy zobaczyła go poprzedniego popołudnia, jej serce na chwilę zamarło. Jednak od razu wytłumaczyła sobie, że jego obecność nic już dla niej nie znaczy. Była mu po prostu wdzięczna za wybawienie z opresji.

A teraz znów tu był. W dodatku wyglądał tak, jak go sobie przez cały ten czas wyobrażała. Przez dwa miesiące walczyła z rozpaczą, czasem niemal go nienawidząc, to znów usprawiedliwiając...

Czasem usypiał ją płacz, a czasem z wyczerpania natychmiast zapadała w głęboki sen. Zawsze jednak obudzenie przypominało powrót z otchłani. Tak bardzo przyzwyczała się do tego, że budzi się zmęczona, iż z początku nie zauważyła oznak ciąży!

To wręcz komiczne. Ja, lekarka, znalazłam się w takiej sytuacji! - myślała Angie z ironią, choć bez rozbawienia. Uwiedziona i porzucona, jak jakaś prowincjonalna gęś!

A teraz on tu jest. Co mu powiedzieć?

- Dobrze się czujesz? - spytał cicho.

- Tak, świetnie. Napijesz się kawy? - Poszła do kuchni, nie czekając na odpowiedź. -

A może coś zjesz? - Zajrzała do zamrażalnika.

- Nie, dziękuję.

- Żaden kłopot. - Zaczęła przerzucać mrożonki, wciąż na niego nie patrząc.



- Czy możesz to na moment zostawić i porozmawiać ze mną? - zapytał Bernardo.
- Rozmowa z tobą jest niebezpieczna. Pamiętasz? Rozmawialiśmy dwa miesiące temu. Bernardo zamilkł.
- Odszedłem, bo nie mogłem tego znieść! - wybuchnął w końcu.
- Dziękuję bardzo!
- Nic nie rozumiesz... Popełniłem błąd, ale wtedy wydawało mi się, że to jedyne

wyjście.

- Więc przysłałeś Bondiniego, żeby się mnie stąd pozbyć!
- Lorenzo mówił mi, jak Bondini się zachowywał. Nie chciałem, żeby ci sprawił przykrość. Widziałem się z nim. To się już nie powtórzy.

Bernardo daremnie czekał na odpowiedź. Angie zajęta była przygotowywaniem kolacji.

- Lorenzo powiedział mi coś jeszcze - dodał po długiej chwili milczenia.
- Nie tracił czasu.
- To mój... brat. Zależy mu na nas.
- Tak. - Głos Angie zmiękł. - Odwiedził mnie, żeby zobaczyć, jak mi się wiedzie. To dobry człowiek. - Nagle podniosła wzrok. - Nie tak jak ty.
- Wiedziałaś, jaki jestem - odparł chrapliwym głosem. - Mogłaś trzymać się ode mnie z daleka. Ale teraz już za późno. Nie uciekniesz ode mnie.
- A to dlaczego?
- To znaczy... nie jesteś... ?
- W ciąży? Owszem. Noszę twoje dziecko. Ale nic się nie zmieniło. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Rozumiesz? Nic!

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bernardo milczał.

- Nic się nie zmieniło - powtórzyła.

- Nie możesz tak mówić - wykrztusił wreszcie. - Wszystko się zmieniło.

Chciała się odwrócić, ale złapał ją za ramiona. Poczł ciepłó jej ciała i ta fizyczna bliskość oszołómiła go. Gdyby teraz Angie chociaż odrobinę zmiękla, przyciągnąłby ją do siebie i namiętnie pocałował. I może spróbowałby - choć tak trudno mu wyrazić uczucia słowami - powiedzieć jej o radości, jaka go ogarnęła na wieść o dziecku. Był tradycjonalistą, a przede wszystkim, Sycylińczykiem. Mieć dziecko z ukochaną kobietą to największa radość, mogąca przyćmić wszystkie lęki i cierpienia! Nawet gdyby nie potrafił tego wysłówić, zrobiłby wszystko, żeby Angie zrozumiała. Gdyby tylko dała mu znak zachęty... Ale w jej oczach znalazł jedynie pustkę. Serce mu się ścisnęło.

- Wszystko się zmieniło - powtórzył, jakby sam siebie próbował przekonać.

Zadzwońiła mikrofalówka i Angie odsunęła się od niego.

- Jedna rzecz się zmieniła - przyznała po chwili. - Ludzie w Montedoro nie wiedzą, czego się po mnie spodziewać. Już przyzwyczaili się do mojego obcego akcentu i nietypowego zachowania. Nawet na moje ohydne spodnie zaczęli patrzeć przez palce. Ale teraz - mówiła lekkim tonem - niektórzy uważają, że posunęłam się za daleko.

Bernardo czuł się zupełnie zagubiony. Już łatwiej byłoby mu znieść historię. Ironiczne podteksty były mu całkiem obce.

- Czy ludzie źle cię traktują? - spytał, przypominając sobie sytuację, której był świadkiem.

- Tak naprawdę, to nie. Jeszcze nic nie widać, więc nie mogą być pewni. Ale gapią się na mnie i zastanawiają się.

- Ale jakim cudem tak wcześnie zaczęli plotkować?

- W zeszłym tygodniu rozmawiałam z matką Franciszką, kiedy nagle weszła siostra Elwira. Potem przypomniałam sobie, że to kuzynka Nica Sartone.

- To wszystko tłumaczy.

- Tak. Musi być zachwycony, że wreszcie znalazł broń przeciwko mnie. Oj, udusiłabym tego człowieka! Nieważne, że kogoś krzywdzi. Najważniejsze, że wreszcie może się na mnie zemścić! Chorzy boją się do mnie zwrócić. Nie wszyscy, na szczęście. Myślał, że uda mu się całe miasto obrócić przeciwko mnie. Ale się mylił.

- Tak. To będzie wielka przyjemność zobaczyć, jak uśmiech znika z jego twarzy -

warknął Bernardo.

- A jak zamierzasz tego dokonać?

- My tego dokonamy.

- Jak?

- Czy to nie oczywiste?

- Dla mnie nie - odparła Angie z uporem. Bernardo nie spuszczał z niej oczu.

- Im wcześniej się pobierzemy, tym lepiej. Bernardo poprosił ją o rękę! Lecz zamiast fali radości, Angie poczuła narastający gniew. Z jaką łatwością Bernardo doprowadzał ją do szału! Co on sobie myśli? Że niby kim jest?

- My mielibyśmy się pobrać? - powtórzyła, jakby nie wierzyła własnym uszom. - Niby dlaczego?

Znowu kompletnie jej nie rozumiał. Oczy Angie pełne były chłodu, wręcz wrogości. Poczł się oszołomiony.

- Bo będziemy mieli dziecko - odparł.

- My? To ja będę miała dziecko. Jesteś wprawdzie biologicznym ojcem, ale ono nie więcej tobie nie zawdzięcza. Zaraz następnego ranka poszedłś sobie bez słowa.

- To był błąd. Przepraszam. Powinienem o tym pomyśleć. Byłem pewien, że... skoro jesteś lekarzem...

- Dosyć! Ani słowa więcej! Tylko wszystko pogarszasz. Przepraszasz za to, że nie pomyślałeś, iż mogę zajść w ciążę, a nie za to, że mnie zraniłeś. Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co czułam, kiedy rano znalazłam twój... czarujący liścik? Czy tylko na tyle zasłużyłam?

Bernardo zaczerwienił się.

- Nie umiem ładnie mówić...

- To nie ze słowami masz problem, Bernardo, tylko z uczuciami. Nie chciałeś ożenić się ze mną z miłości, a teraz, kiedy jestem.... klaczą rozplodową, to inna sprawa, tak?

Bernardo złapał się za głowę.

- Źle mnie zrozumiałaś! Twoja ciąża... rozwiązuje nasze problemy.

Spojrzała na niego tak, jakby zrobiło się jej go żal.

- Mówiłam, że masz problem z uczuciami i właśnie tego dowiodłeś. Gdybym wyszła za ciebie za mąż z takiego powodu, to byłby dopiero początek naszych problemów. Byłabym szczęśliwa, wychodząc za ciebie za mąż z miłości, ale nie chcę mężczyzny złapanego na ciążę. Małżeństwo bez miłości? Wykluczone!

Wypowiadała te słowa wbrew sobie. Całym sercem pragnęła cofnąć je i paść mu w

ramiona. Przecież w końcu chciał się z nią ożenić! Czy to ważne, dlaczego? Rozsądna kobieta przyjęłaby tę ofertę, a wszystko jakoś by się ułożyło.

Ale inna Angie, nieokrzesa i bezkompromisowa, jeżyła się, gdy ktoś uraził jej dumę. To ta druga zdecydowała się na przyjazd tutaj wbrew wszystkim przeciwnościom. To ona spojrziała teraz gniewnie na Bernarda i powtórzyła:

- Nie ma mowy o małżeństwie.

- Zupełnie cię nie rozumiem. Przecież wygrałaś. Czy to ci nie wystarczy?

- Nie. Jesteśmy od siebie jeszcze dalej niż przed chwilą, zanim zaproponowałeś mi małżeństwo. Jeśli uważasz, że wygrałam, to znaczy, że ty przegrałeś. Nie wiedziałam nawet, że o coś walczymy. Myślałam, że próbujemy znaleźć do siebie drogę. I tamtej nocy - głos jej lekko zadrżał, ale się opanowała - wydawało mi się, że ją znaleźliśmy. Powiedziałeś mi o tym, co cię dręczy. Może zbyt mocno nalegałam, żałuję tego... Ale mogłeś zaufać mojej miłości... - Łzy zaczęły spływać jej po policzkach, ale je zignorowała i mówiła dalej: - Ty jednak nie potrafisz dać sobie rady z miłością, bo to oznacza bliskość. Od dwudziestu lat odrzucasz każdego, kto chce się do ciebie zbliżyć. Na widok otwartych ramion odwracasz się, gotów do ucieczki. Proszę bardzo, droga wolna.

- Nie wierzysz w to, co mówisz - powiedział cicho.

- A dlaczego miałabym nie wierzyć? Pamiętasz, co napisałeś w swoim liściku? „Ja tylko potrafię zadawać ból”. To prawda, ale byłam wtedy zbyt głupia, żeby to zrozumieć. Powinniśmy pozostać sobie obcy.

- Już nigdy nie będziemy sobie obcy - odparł ciszej.

- Dlaczego? Dlatego, że będę miała twoje dziecko?

- Nie tylko. Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć. Próbowałem. Noc w noc. Niestety, nie udało mi się. Nawet gdyby to wszystko się nie stało i tak szukałbym cię, by błagać o przebaczenie.

- Słowa, słowa... - westchnęła.

- A więc mi nie wierzysz?

- Sama nie wiem - powiedziała głucho. - Wiem tylko, że słowa mi nie wystarczają. Proszę, Bernardo, idź już.

- Pójdę, ale to nie koniec. Nie zrezygnuję z ciebie tak łatwo. Patrzyła, jak szedł do drzwi. Otarła łzy. Była tak zmęczona, że nic już nie czuła. Jedyne, o czym marzyła, to spać i nie myśleć o niczym.

Łatwo mogła przewidzieć, że jej stosunki z miastem jeszcze się pogorszą. Nikt w Montedoro nie miał wątpliwości, że to Bernardo jest ojcem jej dziecka, ale do jego powrotu

powstrzymywano się przed publicznym osądzeniem Angie.

- Byli przekonani, że Bernardo uczyni ze mnie uczciwą kobietę - Angie zwierzyła się Heather.

- A nie chce tego zrobić?

- Chciałby. Ale to ja nie uczynię z niego uczciwego mężczyzny - odparła Angie z goryczą.

- Niezła z was para! Z taką kabałą tylko Baptista mogłaby sobie poradzić. Tak jak było w moim przypadku. - Heather czule pogłaskała swój wystający brzuszek.

- Nawet Baptista nic tu nie zdziała - odparła Angie z ironią w głosie.

Bernardo nie odwiedzał Angie dość długo, aż do pewnego wieczoru. Wracała późno od pacjenta i zastała go czekającego przed domem. Była zanadto zmęczona, by się z nim sprzeczać.

- Gdzie Ginetta? - spytał, rozglądając się po pustym domu.

- Matka zabroniła jej pracować u mnie.

Przypomniał sobie, że niegdyś u jego matki pracowały wyłącznie kobiety w średnim wieku. Żaden rodzic nie pozwoliłby dorastającej córce zadawać się z miejscową *prostitutą*.

- Więc ktoś musi ją zastąpić. Sama sobie nie poradzisz.

- Nie jestem sama. Siostry zakonne czasem wpadają. Są wspaniałe. Jednak niektórzy omijają mnie z daleka.

„Nie jesteśmy tacy sami jak wszyscy - powiedziała mu kiedyś matka. - Niektórzy ludzie będą chcieli się ze mną zadawać, a inni nie. Z tobą tak, ale ze mną - nie”.

Teraz usiłował przypomnieć sobie, czy ktoś w mieście unikał go jako przyszłego ojca nieślubnego dziecka. Nie - wszyscy byli mu życzliwi. To Angie była napiętnowana, on nie. Być może nie wszyscy otwarcie okażą jej wrogość, ponieważ jej potrzebują. Będą od niej brać, nie dając nic w zamian. Ogarnęła go wściekłość.

- Nie powinno cię to martwić. Finansowo nie jesteś od nich zależna - powiedział zimno.

Zanim dokończył, zdał sobie sprawę z okrucieństwa tych słów. Smutek i zmęczenie odbiły się na twarzy Angie.

- To prawda - powiedziała tylko.

- Błagam, wybacz mi. - Uklęknął przy niej i ujął jej dłonie. - Wybacz, nie powinienem tak mówić.

Uśmiechnęła się słabo, ale wciąż była obca.

- Zrobię ci coś do jedzenia - zaproponował.

- Nie trzeba...

- Zjesz coś - powiedział stanowczo. - Musisz nabrać sił. A może... - Dotknął jej ramienia. - Może zrobisz to dla mnie.

Jeszcze chwila, a oparłaby policzek na jego dłoni, ale cofnął rękę i wyszedł do kuchni.

Słyszała brzęk naczyń, a w chwilę potem cudowne zapachy wypełniły dom. Oczywiście - Bernardo potrafił gotować. Przecież tak cenił swoją niezależność. Teraz jednak była z tego zadowolona.

Zaczęła ściągać kurtkę i buty. Bernardo natychmiast znalazł się przy niej, by jej pomóc. Nie mówił miłych słów, nawet się nie uśmiechał. Jego ręce były jednak ciepłe i delikatne.

- Usiądź - nakazał. - Zaraz nakryję do stołu.

Cudownie było tak potulnie siedzieć i być obsługiwana. Wkrótce na stole znalazł się kraciasty obrus, talerze, sztucce, kieliszki do wina.

- Ja dziękuję za wino - zaprotestowała Angie.

- Czego się napijesz?

- Herbaty. Jest w puszcze na półce.

Podał spaghetti z sardynkami. Było pyszne. Sam jadł niewiele, za to dbał, by Angie zjadła wszystko, do ostatniego kęsa. Podbiegał też ciągle do piecyka, by sprawdzić, czy pulpety nie przypalają się. Na koniec podał herbatę.

Była okropna. Od razu wiedziała, że Bernardo nigdy wcześniej nie parzył herbaty.

- Coś sknociłem? - spytał, widząc jej minę.

- Woda chyba się nie zagotowała.

- Zrobię drugą.

Wbrew jej protestom powtórnie zaparzył herbatę. Przyglądała się mu i czuła lekkie klucie w sercu. Był taki kochany, tak niewymownie bliski... a taki daleki.

- Dobra - pokiwała głową, pijąc powoli.

- Taką robią Anglicy? - zapytał podejrzliwie.

- Ja taką robię... No, prawie taką. Uśmiechnęli się do siebie. Na chwilę mur między nimi gdzieś zniknął.

- Angie... Przerwał mu nagły dzwonek do drzwi. Klnąc pod nosem, poszedł otworzyć.

- Co pan tu robi? Na progu stał Nico Sartone.

- Przyszedłem tylko po receptę, którą pani doktor mi obiecała. - Sartone uśmiechnął się fałszywie i ignorując Bernarda, wszedł do salonu. - Signore Farani potrzebuje tej maści. Miała mi pani przysłać receptę.

- Oj, rzeczywiście, zapomniałam - odparła Angie zmęczonym głosem. - Chwileczkę.

- Nie mógł pan poczekać do jutra? - warknął Bernardo.

- Pacjent potrzebuje tej maści jeszcze dzisiaj. - Sartone rozglądał się po pokoju z chytrym uśmieszkiem.

- Mógł pan dać maść i poczekać na receptę do jutra. - Bernardo ledwo powstrzymywał gniew.

- Miałem sprzedać lek bez recepty? - Sartone nie posiadał się ze zdumienia.

- Chodzi o maść na grzybicę dla człowieka, którego zna pan od lat! Kilka godzin nikomu by nie zaszkodziło. Robił to pan setki razy!

- Tylko kiedy był tu doktor Fortuno. - Lisi uśmiech nie zniknął z twarzy aptekarza. - Teraz nasze standardy są o wiele wyższe dzięki pani *dottore*.

- Oto recepta - Angie weszła do pokoju szybkim krokiem.

- Proszę przeprosić Signora Farani.

- Obawiam się, że nie jest z pani zbyt zadowolony.

- Wyjdź - wyszczał Bernardo. - Wynoś się, pókim dobry!

- Nie ma się co denerwować... Może będziemy mieli ślub...

- Widząc jednak, że posunął się za daleko, Sartone pośpiesznie wyszedł.

Po chwili Angie powiedziała cicho:

- Może i ty powinieneś już iść?

- Muszę? Myślałem...

- Dziękuję za kolację, ale teraz chciałabym się położyć. Bernardo z żalem pomyślał o nastroju sprzed chwili. Wiedział, że trudno będzie do niego wrócić.

- Tak, oczywiście, musisz wypocząć. - Zawahał się, po czym przelotnie pocałował ją w policzek.

Uśmiechnęła się lekko, ale poza tym nie dała mu żadnego znaku zachęty. Wziął płaszcz i wyszedł.

Sartone był tak zajęty, że Bernardo długo musiał czekać, aż aptekarz gotów był go obsłużyć.

- Nie chcę żadnych kłopotów - powiedział wreszcie Sartone, kiedy zostali sami.

- A ja nie chcę słyszeć, że pani doktor miała jeszcze jakiegokolwiek przykrości. To świetna lekarka, która robi dla nas cuda.

- Przepraszam, ale to sprawa między mną a panią doktor.

- Jeśli myśli pan, że będę stał z boku i patrzył, jak się nad nią znęcać, to grubo się pan myli.

Sartone zamruczał szyderczo. Bernardo poczuł, że pięści same mu się zaciskają.

- Ja nie mam wobec naszej miłej lekareczki żadnych zobowiązań, w przeciwieństwie do niektórych...

Bernardo, klnąc pod nosem, wybiegł z apteki. Jeszcze chwila, a popełniłby morderstwo. Na ulicy niemal wpadł na ojca Marco i burmistrza.

- Znam lepsze przekleństwa - życzliwie powiedział ojciec Marco.

- Prawdziwie sycylijskie i dobre na każdą okazję - poparł go burmistrz.

- Na tę okazję nie ma dość dobrego przekleństwa - jęknął Bernardo.

Nagle z apteki wypadł Sartone i wrzasnął:

- Niedługo już nikt nie będzie do niej przychodził. *Prostituta...*

Zanim jednak dokończył, już leżał na chodniku, a nad nim stało trzech mężczyzn, wymachujących groźnie pięściami. Nie wiadomo, który z nich znokautował aptekarza.

Baptista delectowała się właśnie podwieczorkiem w towarzystwie Heather i Renata, kiedy niespodziewanie do salonu wszedł Bernardo. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by młodzi wstali, zostawiając Baptistę z Bernardem samych. Jak później mówili, Bernardo wyglądał, jakby szedł na ścięcie.

Przez następną godzinę przemierzał nerwowym krokiem salon, zagadując Baptistę o zdrowie i o pogodę.

- Muszę już iść - powiedział na koniec. - Zrobiło się późno.

- Rzeczywiście, późno do mnie przyszedłeś. Może jednak nie jest zbyt późno? - odparła Baptista dobrotliwie.

Wreszcie Bernardo zebrał się na odwagę. Zaczął opowiadać, z początku trochę nieskładnie:

- Wczoraj... przyszła do mnie Ginetta, dziewczynka, która pracowała u Angie jeszcze przed tym... skandalem... Potem matka jej zabroniła. Dziewczynka podziwia Angie, chciałaby być lekarzem. Myślała, że się pobierzemy, wtedy mogłaby wrócić. Kiedy jej powiedziałem, że to mało prawdopodobne... i wyjaśniłem dlaczego, nie chciała mi wierzyć. Bo żadna kobieta nie odrzuci ojca swojego dziecka... Mówiła, że to mój obowiązek przekonać Angie do małżeństwa, dla dobra całego Montedoro. - Bernardo zaśmiał się cicho. - Kochają ją. Może nie wszystko akceptują, ale ją szanują, chcą, żeby została.

- Wielką wagę przykładasz do słów tej dziewczynki.

- Ona była u mnie wczoraj. A dzisiaj?! Przyszedł ksiądz, burmistrz, matka przełożona... Cała reprezentacja miasta. Wszyscy mówią, że to mój obowiązek. Kiedy powiedziałem, że to ona mnie nie chce, Olivero Donati kazał mi zajrzeć głęboko w serce i



zapytać samego siebie, co takiego uczyniłem, że „ta wspaniała kobieta” mnie odrzuciła. A do tego poparł go ojciec Marco. Chyba pierwszy raz ci dwaj są zgodni. Całe miasto czeka, aż wszystko naprawię. Nie potrafię ich przekonać, że to nie ode mnie zależy!

- A może jednak od ciebie? - zastanowiła się Baptista. - Trzeba tylko znaleźć sposób.

- Nie ma na to sposobu! - zawołał Bernardo z rozpaczą.

- Wiem, że nie powinienem był jej tak zostawić, ale naprawdę wierzyłem wtedy, że lepiej jej będzie beze mnie!

- Teraz zdaje się, że i ona tak myśli - odparła Baptista bezlitośnie.

Bernardo stanął.

- Kłamię - powiedział z wysiłkiem. - Tylko o sobie myślałem, kiedy postanowiłem odejść. Wyznałem jej takie rzeczy... Bałem się...

Baptista pokiwała głową.

- Bliskość w miłości może być przerażająca. Dlatego wymaga tyle odwagi. Niektórzy ludzie czują się bezpieczniej, kiedy zachowują dystans. Ale Angie nigdy nie pozwoli ci zachować dystansu. Jest taka ciepła. Ma wielkie serce. I jest bardzo odważna. Ona odda wszystko, ale w zamian też chce wszystkiego. Jeśli cię na to nie stać, może lepiej...

Bernardo spojrzał na nią głęboko poruszony.

- Baptisto, co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że może rzeczywiście lepiej by jej było bez ciebie.

- Nawet jeśli mnie kocha...? Jeśli ja ją Kocham...? Baptista powiedziała wolno:

- Czasem miłość... nawet największa, to nie wszystko.

- Nie wierzę w to - odpowiedział z trudem. Spojrzał na nią z rozpaczą. - Już nie wiem, co mam robić. Pomóż mi!

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

W Montedoro wreszcie zagościło lato i miasteczko zaczęła zalewać fala turystów. Jednak do zaułka, w którym mieszkała Angie, z rzadka zaglądał ktoś obcy. Trwała tu niezmacona cisza.

W życiu Angie nastąpiły dziwne dni. Czuli się tak, jakby żyła w zawieszeniu. Wrażenie odrealnienia potęgowały jeszcze wielokrotne wizyty złotego orła, który szybował tuż koło domu, nad doliną. Któregoś razu orzeł zatrzymał się w locie, majestatycznie odwrócił głowę i... spojrzał Angie prosto w oczy. Wydał z siebie rozdzierający krzyk, a gdy echo wielokrotnie odbiło się od skał, odleciał. Ktoś inny nie zwróciłby na to uwagi. Jednak Angie, szczególnie teraz, przy wyostrzonej wrażliwości, uznała ten krzyk i spojrzenie za powitanie. Ptak uznał ją za swoją. I ona stała się wreszcie złotym orłem. Udało jej się! Tylko nikogo to już nie obchodziło - nikt tego nawet nie zauważył...

Nie potrafiłaby powiedzieć, co takiego obudziło ją pewnego poranka i kazało jej otworzyć drzwi. Przed domem było pusto. W niektórych oknach paliły się światła. Przez moment zdało jej się, że w dali widzi zwróconą ku sobie postać. Panowała martwa cisza. Mógłby to być zwyczajny poranek. Ale... No właśnie. Coś wisiało w powietrzu. Angie nasłuchiwała, lecz po chwili zamknęła drzwi.

To osobliwe wrażenie odmienności wszystkiego wokoło nie opuszczało jej także następnego dnia. Obudziła się wcześniej, czując mdłości, co ostatnio stało się normą. Po lekkim śniadaniu otworzyła gabinet, ale poczekalnia była pusta. Choć ostatnimi czasy zgłaszało się mniej pacjentów, jednak codziennie odwiedzała ją grupka chorych. Taka pustka była niespotykana.

Oczywiście... to przez piękną pogodę, pocieszała się w duchu Angie. Na niewiele jednak to się zdało - czuła, jak opuszcza ją wiara w siebie i odwaga.

Po raz kolejny wyjrzała na zalaną słońcem ulicę - ani żywej duszy. Zdało jej się, że słyszy, jak ktoś otwiera okno, potem ktoś syknął: „Psst” i okiennice zatrasnęły się.

Jakiś łoskot kazał jej spojrzeć w drugi koniec uliczki. Zdażyła jeszcze zauważyć na malowanym wozie Benita z synem - choć to nie była ich zwykła trasa - zanim zniknęli między kamieniczkami.

Zastanowiła się, czy to wszystko nie są jakieś zwidy. Kręcąc głową z niedowierzaniem, wróciła do domu. Postanowiła zająć się czymś. Lecz zamiast zabrać się do pracy, stała na środku pokoju, zachodząc w głowę, co się dzieje. Może oszalała? Bo jeśli nie, to czy rzeczywiście słyszała grającą trąbkę?

Wybiegła na ulicę. Dźwięk trąbki rozlegał się głośno i wyraźnie, a bicie w bęben nadawało rytm kroczącej w górę ulicy procesji! Na jej czele, na wozie Benita, jechała... Baptista. Co ona tu robiła? Angie przetarła oczy i wyteżyła wzrok. Obok Baptisty siedziała Heather! W barwnym tłumie krocącym obok wozu Angie rozpoznała ojca Marco, burmistrza, siostrę Ignację i matkę przełożoną - wszystkich wystrojonych jak na Boże Ciało. Na widok Angie zaczęły ze śmiechem machać na powitanie. Wreszcie tłum zatrzymał się przed jej domem. Zebrało się tu chyba całe Montedoro!

- Co się dzieje? - zapytała Angie oszołomiona.

Odpowiedziała jej cisza, tylko ojciec Marco, z szerokim uśmiechem na ustach stanął z boku, ukazując jej oczom kolejną postać.

- Tato! Skąd się tu wzięłeś? - zawołała uszczęśliwiona.

- Przyjechałem na twój ślub, kochanie. - Ojciec objął ją czule. - Twoi bracia kazali cię pozdrowić. Niestety, nie mogli przyjechać. Zawiadomiono nas...

- Jak to? Zawiadomiono was... - Głos ugrzązł Angie w gardle. - Mnie jakoś nikt nie zawiadomił. Ja nie wychodzę za mąż...

- Signorina, po prostu musi pani! - rozległ się błagalny głos burmistrza.

- Jak to - muszę? Wtem na czoło tłumy wysunęło się trzech mężczyzn. Był to Bernardo z braćmi. Angie bacznie przyjrzała się Bernardowi, bezskutecznie próbując wyczytać coś z jego twarzy. Bernardo z pewnością nie wyglądał na porwanego.

- Czy ty o tym wszystkim wiedziałeś? - spytała Angie Bernarda, przyglądając mu się podejrzliwie.

Zamiast odpowiedzieć, Bernardo zwrócił się do Baptisty:

- Miałeś mówić za mnie - poprosił.

- Zrobię, co w mej mocy. Jednak pewne rzeczy mężczyzna musi powiedzieć sam.

- A więc to wszystko jest jakąś znową, tak? - wtrąciła się Angie.

- Tak, kochanie. A skoro tylu ludzi zmówiło się przeciwko tobie, musisz nas przynajmniej wysłuchać - odparła Baptista i szturchnęła burmistrza, budząc go z transu, w którym ten powtarzał swoją mowę.

Olivero odchrząknął i zaczął dobitnie:

- Od kiedy zawitała pani w Montedoro, ciężko pani pracowała, by stać się częścią naszego miasteczka... Doceniamy pani wysiłek...

- Mam nadzieję, że nadal jestem częścią Montedoro? Burmistrz otarł pot z czoła.

- Proszę mi nie przerywać, signorina.

- Dobrze - zgodziła się Angie ze złowieszczym spokojem. Burmistrz spocił się jeszcze

bardziej.

- Hm... Na czym to ja skończyłem... A tak... Ciężko pani pracowała...

- Już pan to mówił.

- Prawda...

- To może ja dokończę? - wtrącił się ojciec Marco.

- O, nigdy! Przecież to ja jestem burmistrzem. To moja sprawa - zaciętrzewił się Olivero Donati.

- Ale to ja będę udzielał ślubu!

- Hola, hola! A skąd weźmie ksiądz pannę młodą? - Angie zerknęła na Bernarda. Dostrzegła w jego oczach iskierki rozbawienia. Sama zacisnęła usta, by nie parsknąć śmiechem. Nagle zrobiło jej się lekko na sercu i strasznie wesoło. Ach, ta Sycylia - oto rodzina i przyjaciele biorą los najbliższych w swoje ręce. I już nic nie można na to poradzić. Trzeba się poddać ich woli!

- Signorina - usłyszała głos burmistrza. - Jeśli pani nie wyjdzie za mąż, nie wypełni pani najświętszego obowiązku wobec Montedoro!

- Ja? A co z jego świętym obowiązkiem? - Wskazała na Bernarda.

- On chce się żenić. To pani sprawia kłopoty - wtrącił się ksiądz.

- Milczeć! Milczeć! - wrzasnął burmistrz. Wziął się jednak w garść i dodał spokojniej:

- Pani nie rozumie mentalności sycylijskiej. Bez ślubu ani rusz... Pędzej czy później... będzie pani zmuszona stąd odejść - dokończył z wysiłkiem. - Ale my zrobimy wszystko, żeby pani w tym przeszkodzić!

- To nie takie proste. Co z biurokracją? Potrzebne są dokumenty. .. - Angie z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Wszystko załatwione - z triumfem rzekła Baptista. - Gdy tylko otrzymałam twoje świadectwo urodzenia...

- Ale skąd?

- Nie zadawaj niemądrych pytań, kochanie. - Ojciec Angie dumnie wypiął pierś i uroczyście uścisnął dłoń Baptisty.

Tłum zaczął wiwatować.

- Chwileczkę! Jeszcze nie powiedziałam „tak”! - Angie tupnęła nogą.

- Więc wyduś to wreszcie z siebie! No i chodźmy już na to wesele! - radośnie zawołał Lorenzo.

Bernardo zbliżył się do Angie.

- Zgódź się - wyszeptał błagalnie. - Byłem głupcem. Wybacz. Nie ufałem naszej

miłości, byłem tchórzem. Nie wiedziałem, że o miłość trzeba walczyć. Teraz wiem. Ty mnie tego nauczyłaś. Błagam cię, Angie, zostań moją żoną.

Wszystkim zaparło dech w piersiach. Oczy tłumu zawisły na ustach Angie, jakby cały świat czekał na jej odpowiedź.

Angie chciała coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Była tak wzruszona, że jedyne, co mogła teraz zrobić, to delikatnie dotknąć policzka Bernarda. To mu wystarczyło. Porwał ją w ramiona i zaczął gwałtownie, namiętnie całować. Publicznie! Na oczach całego tłumu! Czy to ten nieśmiały Bernardo, który jak lew strzegł swoich uczuć przed oczyma obcych? Ciszę przerwały krzyki i wiwaty.

Teraz już wszystko okazało się proste. Heather miała dla Angie trzy suknie ślubne przyniesione z wypożyczalni. Wybór padł na powiewną kremową sukienkę z jedwabiu, z welonem przystrojonym maleńkimi żółtymi różyczkami. Posłano po ogromny bukiet żółtych róż dla panny młodej i dziesięć mniejszych dla druhen. Wszystkie małe dziewczynki w Montedoro chciały być druhami Angie i z trudem zredukowano ich liczbę właśnie do dziesięciu.

Malowanym wozem Benita para młoda zajęła przed ratusz, gdzie odbył się ślub cywilny. Obecni byli wszyscy - nawet Nico Sartone rozplątywał się w uśmiechach.

Następnie przyszła kolej na ceremonię kościelną. Teraz parę młodą przejął z rąk burmistrza ojciec Marco. Nie spuszczał narzeczonych z oczu, kiedy Bernardo przyciągnął do siebie Angie, by ją ucałować.

- Tylko bez żadnych figlów! Dopiero po ślubie! - zawołał surowo.

Przy ołtarzu Angie zapomniała o całym świecie, prócz swego Bernarda. Stał obok zdenerwowany i blady, ściskając jej rękę tak, jakby była jedynym stałym elementem w tym zmiennym i pełnym niepewności świecie.

Angie wciąż nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Przebyli z Bernardem tak długą, krętą drogę. Niemal minęli się ze swoim przeznaczeniem! Teraz jednak nic już im nie grozi. Nareszcie są razem.

Wesele odbyło się na centralnym placu Montedoro. Wszystko tonęło w powodzi kwiatów z górskich stoków i z plantacji Federica. Po licznych przemówieniach pokrojono tort weselny, a następnie rozpoczęły się tańce. Pierwszą tańczącą parą byli naturalnie nowożeńcy.

- Nie sądziłem, że tak idealnie się tu zaadaptujesz - szepnął Bernardo do swojej młodej żony. - Mieszkańcy Montedoro zrobiliby wszystko, by cię nie stracić.

- Nie tylko dla mnie. Najdroższy, czy nie widzisz, że oni cię kochają? Dopuść ich wreszcie do siebie.

Po chwili Bernardo zapytał z niepokojem:

- Nie masz do mnie żalu, że tak to załatwiłem?

- Mogłam odmówić - odparła Angie figlarnie.

- No, nie wiem, miałem zbyt wielkie poparcie. To zasługa Baptisty. Zwróciłem się do niej jak do własnej matki. I ona potraktowała mnie jak rodzzonego syna.

- Kochanie! Czy nic ci to nie mówi? - spytała Angie głęboko wzruszona. - To twoja decyzja, ale chyba nadszedł czas, żeby jej o wszystkim powiedzieć, nie sądzisz?

- Chodź ze mną, Angie. Boję się, że bez ciebie z niczym sobie nie poradzę.

Baptista z uśmiechem przyglądała się zbliżającej się młodej parze. Bernardo, drżąc ze zdenerwowania, usiadł obok niej i ujął jej dłoń.

- Jak zdołam ci podziękować? Brakuje mi słów...

- Jest jedno takie słowo, Bernardo. Przez te wszystkie lata marzyłam, żebyś pokochał mnie jak matkę. Bo ja zawsze kochałam cię jak syna. To był dla mnie szczęśliwy dzień, kiedy przyszedłeś prosić mnie o pomoc.

Na twarzy Bernarda odmalowała się udreka.

- Jak mogłem przyjąć twą miłość, skoro wiedziałem, że nie mam do niej żadnego prawa? Gdybyś знаła prawdę...

Baptista spoglądała na niego z matczyną czułością.

- O jakiej prawdzie mówisz, synu? Bernardo zacisnął zęby.

- To ja jestem odpowiedzialny za śmierć twojego męża. Tamtego dnia uciekłem z domu. Chciałem zejść do Palermo, zobaczyć rodzinę ojca, jego żonę. Byłem zazdrosny, bo moja mama i ja zawsze musieliśmy się ukrywać. Nie udało mi się do was dotrzeć. Zawróciłem. Jednak w międzyczasie rodzice wyruszyli na poszukiwania i... zginęli.

Mówiąc to wszystko, Bernardo nie spuszczał oczu z twarzy Baptisty, jakby czekał, kiedy pojawi się na niej wyraz odrazy. Ale Baptista uśmiechnęła się i spokojnie spytała:

- A więc to o to chodziło. Vincente nie mógł zrozumieć, gdzie i dlaczego tak nagle zniknąłeś.

- Rozmawiałaś z nim o tym? - Bernard był jak rażony gromem. - Jak to możliwe?

- Zanim wyjechali na poszukiwania, Vincente zadzwonił, by mnie uprzedzić, że wróci później, bo muszą cię znaleźć.

- Mówiliście o mnie? Ty wiedziałaś o moim istnieniu? - pytał Bernardo oszołomiony.

- Prawie od samego początku wiedziałam o drugiej rodzime Vincenta. Sama go o to pytałam. Chciałam, żeby wiedział, iż nie musi kłamać. Byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi, rozmawialiśmy o wszystkim szczerze. Zawsze wiedziałam, kiedy was odwiedza. Bernardo

kochany, dlaczego tak cię to dziwi? Między nami nie było tajemnic.

- Ale byłaś jego żoną.

- W sercu człowieka jest wiele miejsca na miłość. I wiele jest rodzajów miłości. Twoja matka dała mu tyle szczęścia, którego ja nie byłam w stanie mu ofiarować. Widzisz, ja zawsze kochałam innego. - Tu Baptista spojrzała wymownie na siedzącego nieopodal Federica. - Vincente o tym wiedział. Byliśmy wielkimi przyjaciółmi. Kiedyś kazał mi obiecać, że gdyby cokolwiek mu się stało, ja zajmę się jego drugą rodziną. Z radością dałam swoje słowo i... mam nadzieję, że go dotrzymałam. Na ile tylko mi na to pozwoliłeś.

Bernardo był błąd jak papier.

- Tamtego dnia, kiedy po mnie przysłaś, myślałam, że mnie nienawidzisz.

- Szkoda, że siebie nie widziałeś! Dwunastoletni chłopiec, który poprzysiągł, że się nie rozplacze. Bo przecież mężczyźni nie płaczą. Już wtedy wiedziałam, że czeka mnie ciężki orzech do zgryzienia, ale... - Pokręciła głową. - Sam wiesz, że... było znacznie gorzej, niż przewidywałam. Jednak, wbrew twojemu uporowi, zawsze kochałam cię jak rodzzonego syna.

- Ale to ja go zabiłem - powtarzał Bernardo.

- Byłeś dzieckiem. Wkrótce sam będziesz ojcem. Czy swoje dzieci też będziesz całe życie obwiniał o wypadki, które przytrafią się im w dzieciństwie?

Bernardo wolno pokręcił głową.

- Nie, mam... Piękny uśmiech rozświetlił twarz Baptisty.

- Jeśli tylko mi wybaczysz - ciągnął Bernardo.

- To ty sobie musisz wybaczyć, synu. A wtedy oboje z twoją matką staniecie się członkami naszej rodziny. W katedrze w Palermo mamy prywatną kaplicę. Zawsze chciałam umieścić w niej tablicę ku czci Marty Tornese.

Nagle Bernardo poczuł, że tyle dobroci nie jest już w stanie znieść. W oczach stanęły mu łzy. Baptista mocno przytuliła go do siebie.

- No, no, nasza rodzina ciągle się powiększa - udało jej się wreszcie wykrztusić. - Dzieci w drodze. I może kolejny ślub... - Spojrzała na Federica.

- Macie zamiar się pobrać? - zapytał Bernardo. A kiedy przytaknęła, pogratulował jej z całego serca.

- Ale ja jeszcze nie skończyłam z planowaniem wesel - dodała Baptista z filuternym uśmiechem.

Lorenzo, który od dłuższej chwili siedział obok, poczuł nagle, że wszystkie oczy zwracają się ku niemu.

- Co? Ja?! Nigdy!

- Odwagi, chłopie - radośnie zawołał Renato, który właśnie przechodził obok z Heather w ramionach. - Do wszystkiego można się przyzwyczać!



## EPILOG

Córeczka Bernarda i Angie urodziła się w październiku. Została ochrzczona w styczniu następnego roku w kaplicy Martellich, w katedrze w Palermo. Nie przez przypadek właśnie tam - był to kolejny znak pogodzenia się Bernarda z rodziną. Już wcześniej przyjął on nazwisko ojca i należącą do niego część spadku.

Maleńka kapliczka była zatłoczona, tak jak wcześniej na ślubie Federica i Baptisty oraz na chrzcinach małego Vincenta, synka Renata i Heather.

Kiedy Angie była już w zaawansowanej ciąży, potrzeba zatrudnienia jakiegoś asystenta stawała się coraz bardziej paląca. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony. Oto starszy brat Angie, Steven, pewnego dnia odwiedził ją, zakochał się w Montedoro i... już tu pozostał.

Teraz rodziny Martellich i Wendhamów w pełnym składzie zebrały się w kaplicy. Nad ich głowami wisiała świeżo wmurowana tablica obwieszczająca światu, że Marta Tornese należała do rodziny Martellich. Angie tuliła w ramionach córeczkę, raz po raz spoglądając czule na męża. Bernardo stał się zupełnie innym człowiekiem. Szczęście, które czerpał z pożycia małżeńskiego, było dla niego źródłem spokoju i harmonii. Patrzył na dziecko i żonę, jak skąpiec patrzy na swe skarby.

Niepokoili go tylko jedna myśl. Otóż zgodnie z tradycją sycylijską to kobiety wybierały imię dziewczynki, zaś Angie i Baptista wciąż nie chciały wyjawić, jakie imię ma nosić jego córka.

Wreszcie Baptista - matka chrzestna - zapytana przez księdza, ogłosiła z powagą:

- Marta. - Uśmiechnęła się do swojego przybranego syna i powtórzyła dobitniej -  
Marta Martelli.